

JÓZEF DZIERZKOWSKI



Król Dziadów

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA W 2 TOMACH.

TOM II

Z 6 ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1910

I.

Niespodzianki balowe.

Ledwie godzina minęła, zaczęły się sypać ze wszystkich dworków roje gości i ciągnąć na górę. Pomału zapępniały się pokoje dworu niżynieckiego. Dwór ten, postawiony z początku na folwark, zwiększał się ciągle nowymi dobudowaniami, których niemało przybyło za terazniejszego komisarza. Zewnątrz też dlatego wyglądał wcale nieokazale, ale za to wewnątrz był obszerny, wygodny, a nawet umeblowany dosyć porządnie; mianowicie jedna jego strona, przeznaczona dla dziedzica na przypadek jego przybycia, była umeblowana z gustem i zbytkiem nawet.

Dziedzic, który lubił pana Krajковского, pozwalał mu używać tego pomieszkania w razie większych zjazdów, to też gości naszych miasteczkowych widzimy zgromadzonych w tych pokojach, które zawsze wielkie robiły wrażenie na panach i paniach niżynieckich, usiłujących małpować wytworne ich umeblowanie. Salon bawiały osobliwie, obszerny, z posadzką i aksamitem obite sprzęty działały niesłychanie na umysły naśladowujących. I każdemu z nich zdawało się, że mniej więcej dobrze naśladował;

parę tylko marmurowych głów i porcelanowych urn było powodem rozpaczycy pań, że im były za drogie, a panów, bo ich małżonki nie mało im za to głowy nasuszyły. Ozdobne te i drogie sprzęty były wieczną solą w oku małżeństw niżynieckich. A chociaż z tego powodu ciąglej dozwalały i doznawały zgryzoty, wszyscy cislęli się chętnie do tego salonu, i mieli sobie za wielki zaszczyt i niemalą przyjemność oglądać swoje świąteczne twarze i stroje w pysznych zwierciadłach, i podziwiać z nosami do góry wzniesionymi ogromny bronzowy pajak, mnóstwem zwierciadelek błyszczący, lub oprzeć się o marmurową kolumnę i kapelusz wsadzić na który z biustów po kątach stojących.

Państwo Krajkowscy chcieli widocznie im zaimponować dzisiaj, co wzbudzało rozmaite między gośćmi szept, na poły podziwiające, na poły krytykujące. To połowiczne uczucie jest podobno wspólne wszystkim na świecie gościom, czy się oni w wielkiem mieście, czym w małym zbierają miasteczku. Wystawa w przyjęciu, aczkolwiek wielka, nie wytrzymałaby surowej krytyki; bo, jak to zwykle bywa na takich wiejskich i małomiejskich balach, trafiały się rozmaite sprzeczności, sztukujące łożówkami stearynowe oświetlenie, lub zastępujące brakującą służbę parobkami, awansowanymi na lokai, lub nawet dziewczkami, uwijającymi się niezgrabnie, ale z uśmiechem, z rozmaitymi przyborami po ślizkiej, często dla nich niebezpiecznej posadzce.

Lecz nie będziemy ich wymieniać, bo w całym tem przyjęciu widoczna gościnność serdeczna, ta gościnność, którą słusznie przez wieków wiele nazywano staropolską cnotą, i która, przechodząc z pańskich pałaców i zamków do szlacheckich dworów i zaściankowych dworów, tak

pomału znika, że ją już dziś rzadko spotkać, i to chyba w dworach uboższej szlachty, u której stare przysłowie: „czem chata bogata, tem rada“, istotną jeszcze jest prawdą. Ale gdzie się ją jeszcze spotka, tam jest ona w całej swej okazałości, w całej szczerocie szlacheckiej, która prawdziwie chwyta za serce, jeżeli się ma serce do takich blawych rzeczy. Jest w tej gościnności coś rzetelnie rzewnego, bo ona przypomina niepowrotną przeszłość, wraca nas nie tylko w dawne szlacheckie obyczaje, lecz sympatycznym węzłem choć na chwilę wiąże coraz więcej rozrywające się u nas ogniwa naszego rodzinnego społeczeństwa. Mimo krytyki złośliwej i trudniejszej do zbicia krytyki ekonomiczno-politycznej, jak tu mieć za złe pocziwemu szlachcicowi, jak tu się nie rozrzewnić, widząc jak on z serca, możnaby naprawdę powiedzieć, karmi i poi gości własną krwią.

Takim było przyjęcie pocziwego Krajkowskiego. Wiele osób u niego bywało, pilo jego zdrowie, żywiło się jego obiadami smacznymi i obfitymi, a jakże mało która z nich chce dziś o tem pamiętać. I czy kogo głowa zaboli, gdy mu przypadkiem przyjdzie na pamięć, że, gdy powiał na niego los niefortunny, stary, owdowiły, pozbawiony dzieci, które rozbiegły się po szerokim świecie, nie mógł znaleźć przyjacielskiego kącika, by starą i znużoną głowę do ostatniego spoczynku złożyć. Już to podobno taki los wszystkich pocziwych Krajkowskich, że umierają gdzieś na komornem, na bruku, zapomniani, jeżeli nie obgadani.

Lecz nie zachmurzajmy sobie wesołej chwili smutnem rozpamiętywaniem zwykłej doli ludzkiej. Dzisiaj u państwa Krajkowskich huczno i radośnie, serdeczność panuje niewymuszona. Cała liczna rodzina pocziwego komisarza była na usługi gości; córki i synowie uwijali

się to tu, to tam, by wszystkim było dobrze i wesoło. Mówiłem już podobno, że sam gospodarz był z Mazurów i cała jego rodzina miała jeden typ, prawdziwie mazurski, rubaszny, śmiejący się, przytupujący.

To też warto było widzieć, jak wszystkie panny, a było ich trzy na wydaniu, biegały na wyścigi po woskowanej posadzce, potracając się nieraz, przyczem i gościom się czasem dostało: ta po kluczyki do matki, tamta przemykając się z jakimś półmiskiem zapomnianym, ta z ogromnym kielichem i większym jeszcze chlebem domowym, chlebem tak apetycznym i woniejącym, jak żadne dzisiejsze, bodaj najwybredniejsze, ciasto. A przebiegając żwawo i raźnie po sali, uśmiechem i spojrzeniem witały znane sobie twarze lub słowem ochoczem, w stronę mężczyzn rzuconem, dawały nadzieję wesołych tanów wieczornych, wybierając już naprzód wyrazistym spojrzeniem miłszych tancerzy, tych do mazura, a i tamtych podobno do mazura, bo już to u Krajkowskich niema nad mazura. Ten jeden taniec (jakoś im szedł od serca prosto w nogi; a inne to tylko dla tej mody przekłetej, która wszędzie się wśrubuje i najpocześniejsze nogi polskie najnieznośniej wykreca do jakichś zamorskich tańców, które ni przypiąć, ni przylatać do naszych piasów narodowych.

I sama pani Krajkowska nie dała się córkom wyścignąć w obowiązkach gościnnej gospodyni. Mówiliśmy już, że była rodu zamożniejszego i znakomitszego, i wniosła w dom męzowski wychowanie nieco pretensjonalniejsze. To też, jak dzisiaj, tak i zawsze, można było w niej dostrzedz jakieś lekkie popędy do pewnej ceremonialniejszej etykiety, wnet zahukane przez rubasznego męża, synów i córki. A choć czasem chciała naprawdę

pozostać przy swoich wyobrażeniach o pewnym towarzyskim wykwincie, to syn się tak szczerze zaśmiał, ojciec tak z mazurską połajal, a córka tak głośno od serca pocałowała, że się w końcu sama uśmiechnęła i przystosowała do calorodzinnej rubaszności, nie cierpiącej żenady. To też ktoby był dawniej znał pannę Henrykę, bywającą w pierwszych salonach, nie byłby jej poznał dzisiaj. Jednem słowem, choć na Rusi urodzona, stała się istną Mazurką i nawet z mazurską zacięła, z niemłą męża i dzieci pociechą.

Trudniejsza była dla niej przemiana wyobrażeń o domowej ekonomice. Obdarzona nie tylko sercem najpocześniejszym, ale i zdrowym rozsądkiem, chciała być koniecznie i w gospodarstwo i w domowe życie wprowadzić jakiś ład; nieraz starała się zaprowadzić jakiś praktyczniejszy stosunek pomiędzy dochodami a wydatkami, przewidując zły koniec tego wesołego życia, bez myśli o jutrze. Gdzie tam! próżne były jej usiłowania. Kassandra była w rodzinie Krajkowskich z swojemi przewidywaniami. A ład zaprowadzić z mężem, z dziećmi!... Jak kura, co kaczęta wodzi, daremnie biegała za rozpierchniętem stadkiem. Albo porządek w wydatkach!... Jej perswazyje, mężowi czynione, tyle właśnie pomagały, coby pomogła polska grobla, oceanowi na tamę postawiona. Krajkowski zalał ją zawsze potopem mazurskich wykrzykników i przysłów, zahuczał śmiechem, zatumaniał nowym nawalem gości. Robiła więc, co mogła, i jako gospodyni takiego domu prawdziwych cudów gospodarskich dokazywała, dostarczając jakoś drobiu i pieczywa takiej zgrai, wiecznie objadającej pana Krajkowskiego. A prawdę powiedziawszy, i sama się zmieniała, o tyle przynajmniej, że się przyzwyczaiła do gości, któ-

rych, gdy przybyli, karmiła aż do choroby; a jak ich nie było, to i jej zdało się, że czegoś brakuje w domu.

Nie będziemy szczegółowo rozpisywali się o całej fecie, ani też wyliczali, ile było półmisków i jakie, ile butelek i jakie napitki. Już to rzeczywiście było naprzód śniadanie tak sute, że nie tylko wszyscy goście mogliby się obejść bez obiadu, ale i drugie tyle nowoprzybyłych mogłoby się nie najeść do sytu, ale napchać do zbytku. Ani też myślimy przytaczać rozmowy, jakie się przed, w czasie śniadania i po niem toczyły.

Byłoby to zanadto trudne, niewdzięczne i nudne zadanie, przeliczać całą tę sieczkę, nakrajaną przez tyle ust. Było tam o tem wszystkim, co nie jest czemś — ot, plewa parowym młynkiem na wiatr puszczone! szukaj-że tam ziarnka. A przytem schwytaj-że, choćbyś miał rozum tak elastyczny, jak piłka, a słuch przenikliwszy, niż u kreta, schwytaj te rozmówki najróżnorodniejsze, połączone jeno ogólnym wrzaskiem, a podzielone na wszystkie onego piskliwej nuty. Stenografem takiej być rozmowy nawet stenograf parlamentu frankfurckiego byłby nie potrafił. Łatwiejby przyszło sto listów dyktować razem, a nawet sto listów dyktowanych pisać razem.

Już to przed śniadaniem w całej fizyonomii towarzysstwa przeważała niecierpliwość objedzenia się jak najprędszego; po śniadaniu zaś niecierpliwość dowiedzenia się o właściwym powodzie tej uroczystości, którego każdy się domyślał na inny sposób, jeden dziwniejszy od drugiego. Bo w te urodziny czy imieniny pani Krajowskiej nikt nie wierzył, przypominając sobie lata dawniejsze, a nawet niektórym zdawało się, że przypo-

minają sobie, iż ta solenizacya w innej zupełnie wypadła epoce.

To też po śniadaniu wszyscy byli, jak na szpilkach. Nie uważając na higieniczne przepisy trawienia, kręcili się z miejsca na miejsce, szperając po wszystkich kątach, czy gdzie ukrytej nie zwietrzą tajemnicy; co chwila podbiegali, wyciągając szyję, do okna, czy stamtąd tajemnica nie zawita jaka. Nareszcie niepokoiło także niepomału nieprzybycie rodziny Wyżyńskich, których, jak wiemy, spodziewali się, i których radziby choć ujrzeć, by spożyć oczyma, a słowami przetrawić. Że coś tam było i coś się święciło, to nawet mieli może i słuszność. Bo dlaczegoż i sami Krajkowscy, a mianowicie on sam i znajoma nasza Piotrunia, która jako mężatka najwięcej się ruszała, dlaczego tak widocznie się kręca, i do okna zachodzą, i synów na dziedziniec wysyłają, z dodatkiem córek, które na ochotnika z nimi wybiegają. Jedna tylko z nich, najstarsza po Piotruni, Binia czyli Sabina znana z swej pustoty i żywości, dziś właśnie najpoważniej się przechadza z jakimś uroczystym, a tak niestosownym wyrazem na twarzy. I to nie bez kozery...

Coś zaturkotało. Jakby trzęsienie ziemi wszystkich podrzuciło i spędziło do okna. To ksiądz gwardyan. Poznano go po jego krytej, żółto pomalowanej bryczce i po trzech źrebiętach, biegnących za dwoma klaczami sroka-temi przy bryczce.

A może i na niego czekają? Ale dlaczego?... Jakby prąd elektryczny przebiegł po wszystkich, skrzyżowały się pytające spojrzenia.

Po przywitaniach i różnych grzecznościach jakoś się jeszcze nie kleiło. Pan Krajkowski znowu do okna zajrzał i łysinę nacierał, co u niego było dowodem głębokiego

namysłu. Tak minęło z pół godziny, przy ciągłym namłocie sieczki i plewy. Nagle odwrócił się pan Krajkowski, spojrzał na zegar, który w kącie na brązowym kole wskazywał czas ulatujący, krzknął i okiem rzucił na żonę. Pani Krajkowska, obejrzawszy się, jakby kogo szukała, wyszła z pokoju i po chwili...

Ciężka to była chwila dla towarzystwa niżynieckiego; nie jedna sznurówka pękała od bijącego ciekawością serca.

Po chwili tedy wróciła, prowadząc za sobą Binie, tak czerwona, jak nigdy nie była za pamięci Niżyńczan, nawet gdy w pilkę z burmistrzównami i kadetem grała na dziedzińcu u kontrolera przed półtora rokiem. Czerwona, jak... lecz jak mnie, tak i wszystkim zabrakło porównania.

— Żle!... to coś będzie! — zadygotały serca.

I ni z tego ni z owego, wysunął się pomalu z grona mężczyzn, występując poważnie, powolnie, z faworytami jakby przyklepionymi do twarzy, snąc je długo z rana chusteczkę obwiązywał, kto?... Oto pan respicyent Hektor Bums, o którym nikt nie myślał.

— Zdrajca! — pomyślała aptekarzowa — nigdy tak wymuskanych nie miał faworytów.

Nie dosyć na tem: i Piotrunia przysunęła się, trzymając w ręku... Co to?... Dalibóg tacka... Ale co na tacce, nikt jakoś dostrzedz nie mógł. Bodaj te głębokie tacki!

I przystąpił ojciec i przystąpił ksiądz gwardyan.

— Fe! to coś okropnego! — pomyśleli wszyscy.

Przemówił ojciec i płakał się, ale zaraz potem śmiał się i jakimś mazurskim ruszył konceptem.

Matka nic nie mówiła, ale się także płakała, i nie

prędko chłodny i grzeczny uśmiech rozweselił szczerze zaszępioną jej twarz.

Przemówił ksiądz gwardyan. Nie płakał się, ale za to pobłogosławił tackę, czy to, co było na tacce, i wyjął z niej...

To były po prostu zaręczyny panny Sabiny Krajkowskiej z panem Hektorem Bumsem.

— Na świętego Michała, taj po żniwach, będziemy się weselili — przemówił ojciec, w którego jednym oku była jeszcze łza ojcowska, gdy już drugie miało w sobie figlarnego dyablika mazurskiego.

Aptekarzowa sama nie wiedziała, czy ma rozpacząć czy się cieszyć. Bums ją zdradził, ale nie dla ex-aptekarzowej przecie.

Zaręczony miał postawę spokojną, zimną i uroczą, jak przystało na taką chwilę i takiego człowieka; który jest już i takim urzędnikiem i pochodzi z takiego rodu, a ma przytem kilkanaście książeczek, świadczących o złożonych w kasach oszczędnościach.

Panna zaręczona dziwnie jakoś wyglądała: nie było w jej oczach ani prawdziwej uciechy, ani prawdziwego rozczulenia, jakie w takiej chwili wypływa z kolizji uczuć tkliwych. To pewna, że nie była wesola, nie tak smutkiem, ile raczej jakimś zamyśleniem, zdającym się wraz z okiem biedz gdzieś dalej, poza otoczenie. W jej oku, w tej chwili ku oknu zwróconem, był rodzaj tęsknoty, i nawet wraz ze spojrzeniem i myślą pomknęło lekkie westchnienie...

Ileż to razy w życiu ta trójca wybiegnie razem, nie spotka się i wróci łąą do oka, kamieniem na serce, ki-rem żaloby do głowy! Panna ani się domyślała, że jeszcze nigdy w życiu tak piękną nie była, jak w tej

chwili. Znikła rubaszna Mazurka, została natomiast dziewczyna, opromieniona uczuciem, które choć raz w życiu każdą Galatę ożywić jest zdolne.

Nawet niżynieckie panie to uderzyło, i mimowolnie szeptały do siebie:

— Jaka piękna! nigdy nam się taką nie wydała.

Ale one przypisywały to wpływowi zaręczyn, które mają już coś w sobie z dnia weselnego. I żałośliwie westchnęły za tym dniem, który już nigdy nie wróci. A niezamężne westchnęły, aby ten dzień pożądanym jak najprędzej dla nich przyszedł.

Binia ani się domyślała wrażenia, jakie sprawia, ona się sama zapomniawszy.

— I ani razu nie spojrzała na pana młodego! — ozwała się z chwilowego rozczulenia budząca się krytyka kobieca.

W oku matki było także podobne, jak u córki, zamyslenie, i jej oko z rodzajem tęsknego żalu patrzyło przez okno gdzieś w dal, w przeszłość może, czy przyszłość! czy tam, gdzie nadzieje są zawiedzione, czy tam, gdzie się próżne roją nadzieje.

— Szkoda! — wymówiła matka półgłosem i urwała.

To słowo jakby odskoczyło z nieruchomą narzeczoną. Odwróciła się ku matce, jakby chciała mieć to słowo od niej wytłómaczone, i podniosła ku oczom chusteczkę. Do haftowanej chusteczki padł najczęstszy haft chustek ludzkich... Iza!...

Znowu zaturkotało. Wszyscy pobiegli znowu do okna i ujrzeni wcale ładny kocyk, zaprzężony dwoma starymi angielkami, którym znawcy niżynieccy prawdziwie angielskie pochodzenie przyznali.

— A to cała awantura! — mówiły usta i oczy przy-

tomnych pań i panów, na widok wysiadającej z powozu rodziny Glinieckich w towarzystwie naszego Eugeniusza, któremu rumieniec wstydu wystąpił na twarz za towarzystwo, w jakim, jak wiemy, pod przymusem się znalazł.

Gliniecki za to i obie panny promieniały dumą i nadzieją.

— Geniuszek! przecie! — zawołała cała rodzina Krajowskich.

— Mama nie przyjechała? — przemówiła pani Henryka do wchodzącego. — Szkoda! — dodała z wyrazem szczerzego żalu.

— Ojciec... — zaczął nie umiejący kłamać młodzieniec.

— Pewnie słaba! — przerwała prędko pani Krajowska, przez wzgląd na gości swoich, wyciągających ciekawe szyje i uszy.

— Szkoda! — powtórzyła, jak echo, panna narzeczoną, i czerwienią jeszcze rumieniec okraszył dorodne jej lica.

Lecz to słowo w jej ustach inne miało znaczenie, daleko głębsze. Ona przypomniała sobie w tej chwili dawniejsze lata dzieciństwa i pierwszej młodości, których wspomnienie tkwiło w jej sercu dziewiczym. Ileż to razy, gdy, dorastając, bawili się z sobą, nazywano ich żartem mężem i żoną. W każdym żarcie połowa jest prawdy, i tak było w słowach rodziców, mianowicie matki, która małego Geniuszka serdecznie kochała i przeczuwała w nim wyższy charakter, czulsze serce. Ale w sercu Sabinki słowa te były zupełną prawdą; ona całkiem przywiązała się do kuzynka, a mierzając jego przywiązanie swem własnym, nieraz słodkie roiła marzenia,

wet o tem, że już ją poetyzowało budzące się w niej uczucie.

Ośmielona serdecznem powitaniem Sabina, polykając żal, który zresztą nie mógł być gościem w sercu wesołej Mazurki, zbliżyła się do niego.

— I któraż z nich podoba ci się lepiej? — spytała, wskazując obie Glinieckie, przypatrujące się z upodobaniem w ogromnem lustrze swoim twarzom i szalikom.

— Mnie? Żadna!...

— Żadna ci się jeszcze nie podoba? — pytała dalej i serce jej zadrżało raz jeszcze.

Eugeniusz z razu nic nie odpowiedział, popatrzył tylko na nią wzrokiem zamyślonym.

— Tyś już szczęśliwa? — wyrzekł nareszcie.

— Szczęśliwa?...

— Kochasz i będziesz jego żoną.

— On już kocha kogoś! — przemówiło w jej sercu dziewczęciem.

I jeszcze więcej się do niego zbliżyła i ścisnęła mu rękę z szczerem współczuciem. Ona mu w tej chwili przebaczyła cały zawód jej serca.

— Pan hrabia drobrodziej nie przypomina mnie sobie? — ozwał się głos jakiś tuż nad uchem Eugeniusza.

Pan Szumski w czamarce stał przed nim, przybrawszy uroczystą minę i postawę, jakby protokół zaczynał.

— Nie, prawdziwie!

— Jestem Szumski! — odrzekł pan justycyaryusz głosem takim, jakby mówił: Jestem Napoleon. Milczenie Eugeniusza biorąc za potwierdzenie, ciągnął dalej: — Bywałem w Niżyńcach, gdyś pan był jeszcze małym dzieckiem... Pozwoli pan! — dodał i, wzięwszy za rękę zaambarasowanego młodzieńca, poprowadził go wprost

do swoich córek, które wraz z licznem gronem dziewcząt stały przy jednym oknie, poskubując rozstawione na niem kwiaty.

— Pan hrabia Eugeniusz Wyżyński... moje córki: Tekla i Barbara Szumskie.

Eugeniusz uklonił się, ledwie wiedząc, czego chcą od niego. Panny dygnęły, patrząc wokół, czy koleżanki widzą zaszczyt, jaki ich spotyka.

— Pan lubi kwiatki? — zapytała czempredzej Teklusia, bojąc się, by ładny hrabia nie wymknął się jej.

— Któżby nie lubił kwiatków! — odrzekł bez myśli, oglądając się za jakim zbawieniem.

— A jakie kwiatki pan lubi najwięcej? — pytała Basia.

— Byle nie w wazonach, które są dla nich więzieniem.

— Pan pewnie lubi goździki — wyrwała się Teklusia, uradowana, że się jej udało wścibić taki dowcipny i zaczepny koncept.

— Goździki? — odrzekł Eugeniusz machinalnie, nie rozumiejąc zapytania, i co prędzej odwrócił się do zbliżającego się Adasia.

— Przyznał się! przyznał! — mówiły siostry do siebie, klaszcząc w dłonie. — I uciekł, bo się wstydzi...

— Co szczebioczą moje rybeczki? — zagadnął stary i trzęsący się głos Wiciewicza, ubranego w odwieczny frak brązowy ze stalowymi guzikami.

Pan Wiciewicz bowiem stał już od chwili, otoczony młodemi dziewczętami, które, nie zważając na wiek, brzydotę i okropny zapach tytuniowy, umizgały się do niego na piękne. Bo wieść niesła, że, mimo wieku i skąpstwa, Wiciewicz ma ochotę ożenić się jeszcze. Każda z obec-

nych panienek chętnieby poszła za niego. Mimo i anieńskiej przyjaźni, jaka łączyła panny Szumskie z kontrolerówną i dwiema siostrami pani aptekarzowej, było nawet z tego powodu wielkie współzawodnictwo. Jedna drugą obmawiała przed Wiciewiczem, sadząc się na uśmiechy zalotne i słówka, pełne dwuznacznej słodyczy.

— Jak pan ślicznie wygląda!

— Pan codzień młodnieje! — pochlebiała druga.

— Z pana wielki bałamut! — wdzięczyła się trzecia.

— Czemu się pan nie żeni? — mówiła najodważniejsza kontrolerówna, spuszczając wstydliwie piwne oczęta.

A każda marzy:

— Żeby to mnie wziął stary dziad! Wnetby umarł i zostawił mnie bogatą wdową. Tobym używała! A przyjaciółki moje jakby mi zazdrościły!

Czy stary Wiciewicz myślał kiedy o ożenieniu i czy mógł nawet myśleć o nabyciu sprzętu tak kosztownego, jakim jest żona, w to się wdawać nie myślimy, ale to pewna, że umizgał się na piękne. I drżącym mówił głosem do nich:

— Moje rybeczki! pomarańczki! moje koteczki!

I podnosząc swoją zatłuszczoną umbrellę, pociesznie na nie siwemi oczkami spoglądał, cmokał językiem, pokazując całe półtora zęba czarnego, jakie posiadał, a nawet nieraz pogłaskał po brodzie i licach zimną, jak lód, a brzydka, jak ziemia, ręką.

Przed obiadem pozasiadali panowie do kart, to do wista, to do preferansa i taroka. Uformował się nawet éwik, do którego należały, prócz księdza gwardyana i milczącego jak grób pocztmistrza, pani burmistrzowa i pani Szumska. Burmistrz chodził po pokoju, nie gra-

jąc, chociaż dusznieby zagrał; ale nie śmiał usiąść, czując za sobą świdrujące oczu żoninych spojrzenie.

Po długiem oczekiwaniu, które zawdzięczało towarzystwo spitemu, jak bela, Bazylkowi, kucharzowi państwa Krajzkowskich, podano obiad, któryby się i do północy nie był pojawił, gdyby nie pomoc starego i sławnego na całą okolicę kucharza od reformatów.

Długo jeszcze trwało, zanim usiedli wszyscy do stołu. Bo też nie mała była sztuka usadowić wszystkie te małomiejskie pretensye, które, jakkolwiek małomieszczańskie drwią niby z ceremonii, nazywając je arystokracją, nigdzie nie są tak wielkie, jak w małych miasteczkach. Poczciwy mazur Krajkowski pędził gości, jak trzodę, przed sobą, naganiając, by siadali.

— No! ta przestańcie się ceremoniować. Co tam przyjdzie z tych ceregielów. Wa! ta bo one was nie nasycą!

Daremne było gadanie, bo wszyscy się popychali, by się wzajemnie wyprzedzić, wszyscy się przepaszali, ale nikt nie siadał, tylko patrzyli, do którego kto zmierzał miejsca. Pani Krajkowska, znając ten narów swoich gości, biegła pomiędzy nimi, i z niemałym potem i nateżeniem umysłu wyciągała po jednemu i własną sadowiła ręką. Nareszcie się to jej udało, o tyle przynajmniej, o ile się udać mogło. Bo zupełnie zadowolić wszystkich było niepodobieństwem. Były kwestye tak zawile, że najdzielniejszy dyplomata nie mógłby ich rozstrzygnąć. Najtrudniejszą była odwieczna walka, kilka już pokoleń trwająca między kasyerową a kontrolerową, które obie rościły sobie pierwszeństwo.

— Mój mąż kontroluje kasyera! — mówiła jedna.

— Memu mężowi kasę powierzają, a kontrolerowi tylko papiery.

Nie wiem, czy to wielkie pytanie niżynieckie do dzisiaj zostało rozstrzygnięte.

Obiad był prawdziwie homeryczny, boby homerowych nasycił bohaterów. Pito też niepospolicie. Zdrowia tylko, ta konieczność obiadów szlacheckich, nie szły w należytym porządku, bo pocziwy Mazur, który, nie siedząc sam przy stole, chodził ciągle wokoło niego, nie chciał łamać sobie głowy nad wynajdywaniem coraz nowych toastów, dolewał ciągle i ciągle do picia naganiał, czy z toastem czy bez toastu. W końcu obiadu ozwała się muzyka z sali bawialnej, dając hasło do rozpoczęcia tańców. Młodzieży niżynieckiej zadrżały skóre do płasów nogi, i przy nucie poloneza biesiadnicy powstali od stołu. Łącząc się w pary, jak komu wypadło, weszli wszyscy do sali balowej.

Eugeniusz, którego pilnowała rodzina Glinieckich, mimo największej ochoty, nie mógł się wymknąć i w drugiej czy trzeciej parze musiał wystąpić z żwawą Francją, która sama porwała go za rękę. A co gorzej, gdy wkrótce zagrano mazura, wmówiła w niego, że ją zamówił, i mimo całej niechęci, musiał przewodniczyć kołu mazurowemu. Niemale to było dla niego zadanie, bo, nie lubiąc tańca, nie wiele rozumiał się na figurach, w których i tancerka jego, choć wychowana, jak ojciec twierdził, na pensyi, nie bardzo była doświadczona. Wynikały stąd rozmaite zamieszania, ale, że była szczerą ochotą, tańczono mazura w par kilkanaście ze dwie godziny, nie tyle w takt, ile głośno i wrzaskliwie.

Po mazurze pani aptekarzowa na wspólną z panią rewizorową zaimprovizowały francuskiego kontradansa,

który czy siedł po francusku, trudno było zawyrokować, ale że był bez taktu i gracyi, za to zaręczyć było można.

W wielkim czy w małym świecie, mniej czy więcej idzie gładko, nie jest to taniec nasz; niestosowny do przyzwyczajęń narodowych, których trudno się zaprzeczyć w mowie, czy w kroku, wydaje się on zawsze niezgrabnem małpowaniem. Ale cóż zrobić z modą, za którą małomieszczanie przepadają więcej jeszcze od wielkomieszczan? Kawaler czy panna, wróciwszy z takiego balu na wsi, w miasteczku zapytani:

— Czy dużo tańczyliście? — nie odpowiedzą inaczej, jeno:

— Tańczyliśmy tyle a tyle kontradansów.

Mniemają bowiem, że to im daje patent na ludzi modnych i światowych.

Na szczęście muzyki, złożonej z Żydków niżynieckich, którzy walili kontradansa w takt, ale pewnie nie francuski, i tańczących, którzy wszyscy, naigrawając się z siebie nawzajem, mylili się najnieznośniej, cała rodzina mazurska nadto była przywiązana do rodowitego tańca, aby dała często powtarzać nieswojskiego kadryla.

Kilku mężczyzn, z cyrkularnego przybyłych miasteczka, zażądało od muzyki polki tremblante. Ale zaledwie dwie pary wysunęły się na salę i poczęły swe pocieszne, a wielce nieprzyzwoite wyprawiać podrygi, pocziwa pani Krajkowska wpadła pomiędzy nie i rozgniewana prawie, lecz zawsze grzecznie, odczuwała się do tańczących:

— Moi państwo, już to w moim domu nie tańczcie tej polki tremblante. Żadnej z moich córek jabym nigdy jej tańczyć nie pozwoliła.

— Dajcie pokój temu karczemnemu tańcowi! — krzy-

czał pan Krajkowski, biegając wokół z kieliszkiem i butelką.

— Dobrze papa mówi! — wołały córki.

— Mazur! mazur! — powtarzali grzeczni kawalerowie.

I mazur brał górę. Eugeniusz był bohaterem tego dnia, bo go sobie panie i panny z rąk do rąk wyrzywały.

— Kuzynku! a ze mną! — szeptała mu do ucha panna narzeczona i jej siostry.

Eugeniusz, choć ciągle roztargniony i, jak się zdawało, zamyślony aż do niezgrabności, z której wszyscy się śmiali, w końcu sam się rozochocił. Bo nasz rażny mazur ma to w sobie, czy w nucie rodzinnej, czy w porywającej skoczności, że w końcu najobojętniejszego rozpali i odurzy. A cóż dopiero, gdy ucieli krakowiaka. Choćbyś olów miał w nogach, to musisz podskoczyć.

Krakowiak dla nas to jakby ów taniec szwajcarski, który porywa duszę i unosi w łube sercu okolice, sferę najmilszych wspomnień. Krakowiak ci przypomni i chatkę rodzinną, i lubą matkę, i siostry drogie, i wiosnę życia, i marzenia wiosniane; wszystko ci przypomni, coś kiedykolwiek czuł i dumal, rozczuli serce, rozteskni duszę, umysł nawet uniesie tą nutą tak dobrze nam znaną.

Bo krakowiak to nie taniec konwencyonalny, nie śpiewka, chwilowej ułudy dziecko — to pieśń ludowa, która gra ci, zdaje się, od kolebki aż do trumny przywiązaniem ziemi rodzinnej.

Jakże się też oprzeć tej nucie. W najprozaicniejszym człowieku rozbudzi się choćby iskra poezji. Eugeniusz z Sabinką szli na przedzie, i zwrotki na przódce klejono, składały się same słowa, w których łączyły się obojga myśli. U niej tęsknota za przeszłością, za swobodą dzie-

wicza, której dziś dzień ostatni przemija. U niego pragnienie tej przyszłości, ku której bieży serce młodzieńca, technieniem poezji i biegiem młodej krwi rozpalone.

Nadaremnie pan Hektor Bums przeciągał twarz, wykrzywił oczy, głaskał faworyty i z uśmiechem pogardliwym patrzył na kręcące się pary.

Nuta skocznego krakowiaka wszystkich mocno upoiła, wszystkich porwała w jakiś wir szalony. Bo czy to w wielkim czy małym mieście, na tę nutę ozwą się serca wszystkie.

Zmęczenie przerwało krakowiaka. Nastąpiła chwila przestanku, chwila milczenia, nagle przzerwana głośnym łoskotem burzy, która zawyla na dworze. Światła ogromnego pajaka pobladły przy blasku błyskawic; muzyka zamilkła, grzmotami zagłuszona. Była krótka chwila powszechnego przestrachu.

— Niech żyje młoda para! muzyka, graj! — zawołał gospodarz, pojawiający się w sam czas z ogromnym kielichem.

Nadaremnie uderzył gdzieś niedaleko piorun; nadaremnie błyskawica przemknęła przeraźliwym światłem przez wszystkie okna sali balowej.

— Niech żyje młoda para! — krzyknęły ochotczo wszystkie usta.

A basetlista całej użył sztuki i całej umiejętności swojej, by chrapliwym i huczącym tonem zagłuszyć grzmoty szalejącej na dworze burzy.

Pan Hektor wyszedł na środek, aby podziękować, i miał zamiar coś pięknego zapewne powiedzieć. Wszyscy nadstawili uszu, szykując zarazem kielichy, bo pan narzeczony uchodził w Niżyńcach za mowcę niepospolitego.

I szkoda, wielka szkoda, że nic nie powiedział. Ale inaczej zrządziła fatalność dnia tego. W tej samej chwili ozwał się jakiś głos piskliwy i chrapliwy, a nie mniej przeto donośny:

— Ratujcie!

I wbiegła do pokoju jakaś kobieta stara, brzydka, w brudnym i ubogim odzieniu. Z pod chustki kraciastej, którą jej głowa była obwiązana, dobywały się siwe włosy, rozwiane w nieladzie nie zupełnie estetycznym.

Na jej widok, jak na widok upiora, zadziwienie i przerażenie odmalowało się na wszystkich twarzach.

— A to co? — pisnęły kobiety i powtórzyli mężczyźni, którym wszystkim prawie kobieta ta była nieznana.

Ex-burmistrz Wiciewicz, który właśnie rozmyślał, czy czekać jeszcze na kolację, czy dokonać zamiaru, jaki był sobie na dzisiejszą noc ułożył, skoczył jak oparzony. On jeden znał ją doskonale.

— Doktora! — wołała kobieta.

Przytomni lekarze, a było ich trzech czy czterech, wyskoczyli naprzód.

— Do kogo? — zawołało kilka osób przytomniejszych.

— Kona! — wołała dalej kobieta.

— Kto taki? — ozwało się jeszcze więcej głosów.

— Otruty!... ratujcie! — krzyczała kobieta.

— Otruty! — wybiegło ze wszystkich prawie ust. Przerażenie ogólne przybierało kolosalne rozmiary.

— Kto taki? — powstał wrzask ogólny.

— Otruł go! otruł bez miłosierdzia! — jęczała kobieta. — Ale ja się zemścę!

— Kto otruty?

— Kto otruł? — pytano na wyścigi.



— Otruty!... ratujcie! — krzyczała kobieta.

Burmistrz wystąpił naprzód, po raz pierwszy może nie poradziwszy się wzroku żony.

— Może tu jest doktor! bo w mieście żadnego nie znalazłam — mówiła kobieta coraz płaczliwszym głosem.

— Ależ do kogo? — pytał pan Februar, wyprzedzając kolegów, i już miał kapelusz w ręku.

— Kto otruty? Mówże, na miłość Boga! — wołał pocziwy Krajkowski.

— Mój stary! mój pocziwy!... nikomu nic złego w życiu nie zrobił... mój kot!...

W pierwszej chwili przemogło jeszcze powszechne osłupienie. Raptem przerwał milczenie śmiech wszystkich obecnych, śmiech szalony. Nikt do słowa przyjść nie mógł, bo się wszyscy śmiali. A gdy już przemówić mogli, najpocieszniesze zamieszanie panowało na sali.

Stara Marta, którą zapewne czytelnicy moi dawno już poznali, patrzyła na śmiejących się z wyrazem oburzenia, niepodobnym do oddania. Bo dla niej otrucie kota, jedynego przyjaciela, jakiego miała, jedynego towarzysza od lat tylu, który wraz z nią tyle przeżył nędzy i biedy, który jeden łasił się do niej i nie opuścił nigdy, było ciosem prawdziwym. Komiczność położenia dla niej nie mogła być zrozumiana, bo żal jej był słuszny.

— Ten go otrul!... ten niegodziwiec! — mówiła kobieta, suchym palcem wskazując jeden kąt pokoju.

Wszyscy się rozstąpili i spojrzeli w kąt wskazany. Lecz tam nikogo nie było. Przed chwilą jeszcze drzemał w nim stary Wiciewicz, lecz w czasie zamieszania i śmiechu wyniósł się niepostrzeżony.

Burza tymczasem wścieklej jeszcze zawrzała na dworze. Huk piorunu, poprzedzony jaskrawą błyskawicą, rozległ się po sali.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała Sabinka, stojąca z kuzynkiem Eugeniuszem niedaleko okna. — Ktoś stoi koło okna!... Patrz, co to za twarz okropna!

Eugeniusz spojrział za jej palcem i wzrokiem, i w rzeczy samej ujrzał jakąś twarz. Lecz czy istotnie nie była tak okropna, jak się pannie Sabinie przy oświeceniu błyskawicy wydała, czy jako mężczyzna nie był tak wrażliwy, uśmiechnął się tylko.

— Niema czego się bać — wyrzekł. I uśmiech ust przeszedł mu do oczu, które zabłyśły dziwnym jakimś wyrazem.

I Sabinka ocknęła się z chwilowego przestachu i zaczęła się śmiać. I chciała coś znowu przemówić do kuzynka, lecz już go nie było przy niej.

Tymczasem, po długich śmiechach, krzykach i zapytaniach, rzecz o otrutym kocie wyjaśniła się. Marta ze łzami w oczach rozповідаła, jak nagle kot, spoczywający u niej na kolanach, zaczął wić się i kręcić, i ze łzami w oczach a łkaniem na starych, trzęsących się ustach, błagała lekarzy, by go szli ratować.

Serdeczne jej łzy i błagania nic nie pomogły. Nowy tylko powstał śmiech, i ledwie ją namówiono, aby wróciła do domu, a może tymczasem jej ulubieniec ozdrowieje.

— Może się objadł — ozwał się doktor Februar z uśmiechem szydzącym.

— Objadł się! — odrzekła Marta. — Objadł się! — powtórzyła z wyrazem, który, mimo całej komiczności tej sceny, był prawdziwie tragiczny.

Biedna Marta, zrozumiawszy, że nie znajdzie ratunku pomiędzy ludźmi nieczułymi na jej zmartwienie, pobiegła do domu. Po drodze staruszka modliła się z całą szcze-

rością, aby kota zdrowego zastała. Wszakże to jej cała pociecha. Dochodząc do domu, ujrzała, jak się mignął tuż koło niej jakiś wózek, jadący, jak się zdawało, w dół od dworka Wiciewicza.

— Co to wam, Marto? — zapytał ją jakiś głos.

— Co mnie jest? — odpowiedziała z zadziwieniem, że ją kto jeszcze może pytać o to.

I chciała już przejść koło naszego znajomego, pana Srula Feigele, który, nie zważając na burzę, stał niedaleko wrót Wiciewicza.

— I gdzież-to wasz pan tak późno pojechał? — pytał Żyd dalej.

— To on pojechał? — odpowiedziała Marta.

— A któż inny? Ja sam widziałem.

— Dokąd pojechał ten niegodziwiec? Dokąd? Pieniądze zakopywać.

— Zakopywać... a gdzie?...

— A gdzież indziej, jeżeli nie w swojej pasiece — odrzekła szybko i wbiegła do domu.

Biedna Marta! Kota zastała już nieżywego.

Wiciewicz popędził tymczasem konika i dażył ku znanej nam pasiece. Dla ciągłej jeszcze, choć oddalającej się aż ku góróm burzy, nie widział, że o kilkadziesiąt kroków za nim jechał wóz prosty, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

W sali balowej przez ten czas nowe powstało zamieszanie, wywołane tym razem naprawdę tragicznym zdarzeniem.

Po wyjściu Marty zagrano na nowo mazura, którym nikt się tak nie cieszył, jak Marysia Gliniecka. Mimo całej nieśmiałości swojej, póty się kręciła koło Eugeniusza, póty przymawiała, póki nie zamówił jej do tego tańca.

Uradowana dziewczyna za pierwszym uderzeniem smyczka biegnie do tworzącego się kola, szuka oczyma, ale tancerza niema. Wybiegła do drugiego pokoju — i tam go niema. W najwyższej rozpacz, bo słyszy już tupot tańczących, szuka po całym domu, lecz nadaremnie. Wraca do sali znowu.

— Gdzie pan Eugeniusz? — pyta, kogo złapie.

Z początku nie wiele na to uważano; lecz w końcu przeciągająca się nieobecność pierwszego gościa balowego uderzyła wszystkich.

— Gdzie jest pan Eugeniusz? — ozwały się głosy w kole mazurów i poza kołem.

— Musiał się wynieść cichaczem — rzekł Hektor.

— To być nie może! — odrzekła Sabinka. — Byłby się przecie ze mną pożegnał.

Zadziwienie powszechne wzmagalo się; przerwano mazura. Młodzi Krajowscy wybiegli na dziedziniec, do stajni. Anglezy stały spokojnie przy gościnnym żłobie, a furman, najedzony, drzemał w izbie czeladnej.

— To coś dziwnego! — mówili wszyscy.

Kwerenda zaczęła się na wielką stopę. Szukano po wszystkich kątach możliwych i niemożliwych. Nadaremnie. Zadziwienie zmieniło się w przestroch. Najdziwniejsze krzyżowały się domysły, przybierające co chwila barwy coraz ciemniejsze, do których Sabina dodała jeszcze widzenie swoje w oknie jakiejś twarzy okropnej, która wyrosła w mgnieniu oka w jakąś powieść straszną, tragiczną, niezrozumiałą, ale tłómaczoną na wszystkie najdziwniejsze, najmniej prawdopodobne sposoby.

Bal się przerwał. Krajowski w nocy jeszcze poleciał do Wyżyniec. Lecz i tam Eugeniusza nie było. Prostoduszny Mazur nie umiał ukryć przestrochu swego,

ani też zataić powodu, dla którego przyjechał do domu, rzadko przez się odwiedzanego.

Łatwo pojąć przerażenie wszystkich w Wyżynicach.

Ojciec najmniej rozpaczał, ale przecie był zaniepokojony, nie jako ojciec Eugeniusza, ale jako ojciec ostatniego Wyżyńskiego.

— Jakiś romansik! — wyrzekł wreszcie, spoglądając w zwierciadło. — Zwyczajnie młody! — I uśmiechnął się uśmiechem arcy-dyplomatycznym.

— Może pojedynek! — powiedział major. — Ale byłby przecie mnie się zwierzył!

— Romans!... pojedynek!... — powtarzała matka, zalamując ręce i blizka zemdlenia. Ona ledwie rozumiała, co wokoło niej mówiono. — Nie! nie! — mówiła dalej. — Nie! to coś innego, coś okropnego. Boże mój! Boże... Ja zawsze przeczuwałam... Ja zawsze patrzyłam na niego... jak nie na swego... Moje przeczucia!... moje sny!...

I padła zemdlona.

Noc przeszła i drugi dzień przeminał. Eugeniusz znikł bez wieści.

Co się działo w Niżyńcach, tego na wołowej skórze nie spisać. Wszyscy biegali z domu do domu, a wszyscy z nowinami. Każdy coś powiedział, coś zasłyszał, czegoś się domyślał, a wszystko razem najmniejszego nie miało sensu. W aptece odbywał się przez cały dzień walny sejm. Nic na nim nie uradzono, ale za to wypito, co tylko było piolunu u pana Beczyńskiego, a pod wieczór wzięto się już do kropel hofmańskich.

II.

Walne zgromadzenie.

Przenieśmy się teraz do znajomej już nam góry z monasterem. Poza tą płytą właśnie, na której widzieliśmy piękną Hanię, szła z dołu ścieżka, która, kręcąc się jakby wąż dokoła góry, zachodziła do wszystkich niemal chatek wiejskich, ukrytych w cieniu sadów i bujnej leszczyny. Po jednej stronie cała góra kończyła się przepaścisto, a nad urwiskiem, na samej górze, był monaster, trzema szerokimi kopułami świecący, a niżej ku przepaści ciągnął się, jakby nad przepaścią zawieszony, lasek świerkowy. W nim to niedaleko od siebie, a oddzielone od innych, stały dwie chaty, tak odosobnione od innych mieszkań ludzkich, że mogły uchodzić za mieszkania samotników. Jedna z tych chat wyglądała nieco na dworek, bo przynajmniej miała komin murowany i porządniejsze nieco podwórko. W niej mieszkał Goździkiewicz, o którym, choć go jeszcze osobiście nie poznaliśmy, wiemy, że był ekonomem u hrabiego Wyżyńskiego.

Druga chata prawdziwa, choć w całym jej składzie powierzchownym i w czystym obieleniu znać było wie-

śniaczy dostatek, stała nad samem prawie urwiskiem, ale o dwa kroki trudno ją było zobaczyć, tak była otoczona sterczącymi tu i owdzie skałami i gęstszym w tem miejscu lasiem. Zostawiwszy dworek na później, wejźmy naprzód do tej chaty. W środku było niby jak w każdej chatce, a przecież znać było różnicę, uderzającą każdego wchodzącego. Nie było bowiem tej sionki, która jest koniecznością każdej chaty, bo pomieszczeniem jest dla drobiu i prosiątek. Wchodziło się wprost do izby, która, zajmując większą domu połowę, była nadzwyczaj wielka i obszerna. Sprzęty były, jak zwyczajnie w chacie wieśniaczej, proste i wcale niewykwintne.

Jedyny zbytek stanowiło mnóstwo obrazków świętych w ramach i bez ram, które zajęły prawie wszystkie ściany. Najglówniejszą między nimi rolę grał obraz Najświętszej Panny, mocno zakopcony, przed którym gorzała co soboty łojówka, w żelazny świecznik włożona, i drugi obrazek, ogromnie jaskrawy, który przedstawiał św. Onufrego, jednego z świętych najwięcej szanowanych przez OO. Bazylianów, do których ta góra i ten monasterek należał. Po ścianach i na powale zawieszane były rozmaite kwiaty i zioła zasuszone, które, jako poświęcone, strzedz miały chatę od wszelkich czarów i złych duchów. W kącie stał tapczan nadzwyczaj szeroki, zasłany słomą i wielką weretą płócienną pokryty. Koło ściany stały ławy, a przed jedną z nich długi stół drewniany, którego jeden róg przykrywał biały lniany ręcznik z czerwonymi szlakami. Na nim stała ogromna flaszka z zielonego szkła, napelniona wódką, i takąż sama szklanka, zastępująca kieliszek. Tuż obok leżał bochenek chleba razowego, którego wielkość dobre dawała świadectwo o objętości pieca piekarskiego, zajmującego znaczną

część izby w kącie, niedaleko drzwi. Przy chlebie stała stłuczona miseczka gliniana z solą.

Był to wieczór tego samego dnia, w którym odbywał się bal w Niżyńcach. Za stołem, przy rogu nakrytym siedział ów starzec, którego raz już widzieliśmy, gdy na kamiennej płycie stanął przy pięknej Hani. Z twarzą na jednej ręce opartą, siedział starzec sam jeden w chacie i, jak się zdawało, był głęboko zadumany. Do tego wyrazu przyczyniała się najwięcej nieruchomość oczu, które, jasne i szeroko rozwarte, zdawały się nigdy nie ruszać, nigdy wyrazu nie zmieniać, zawsze w jedno spoglądać miejsce.

Był to ów Wasyl, znany w całej okolicy jako król dziadów. Ślepy był i, jak wieść okoliczna niosła, ślepym być musiał, aby ten szczególny urząd króla dziadów, urząd dziedziczny, z ojca na syna przechodzący, mógł piastować. Zanim uzyskał koronę dziadowską, musiał postradać wzrok, ten najdroższy życia skarb. Dziwny to ludziom każdego stanu właściwy popęd do wyższości, do zwierzchnictwa nad drugimi. Wzrok tracić samowolnie, czasem w kwiecie wieku jeszcze, kiedy wszystko, co w oczy wpada, jest tak pełne uroku, tak nęcące, aby zostać niczem innem, jeno żebrakiem, kaleką, ale najstarszym między żebrakami i kalekami! A przecież znalazł się ojciec, znalazła matka, którzy doradzili synowi, a może nawet własnymi rękoma do takiego pomagali kalectwa; znalazł się syn, który takie kalectwo dobrowolnie przyjmował z rąk rodziców na resztę życia, jakby nieochybne przeznaczenie. Nie mało zapewne przyczyniała się do tego w takiej rodzinie ta prostemu naszemu ludowi właściwa wiara przesądna w przeznaczenie. Syn króla dziadów od małego dziecka przyzwyczajał się do

tej myśli, że musi zostać ślepym. Słepota była mu błogosławieństwem i puścizną razem po rodzicach.

Takim sposobem i Wasyl został po ojcu królem dziadów i dziwny ten urząd piastował od lat niepamiętnych. Mało kto bowiem z okolicy pamiętał starego Wasyla inaczej, jak już starym. Wszakże on dwa już własne pokolenia pochował: synów i córki, wnuków i wnuczki. A sam żył jeszcze, choć siwy, jak gołąb, ale czerstwy jeszcze i zdrowy, jak ów dąb stary, co czasem w starym przetrzebionym lesie pozostanie sam jeden, otoczony młodemi drzewkami, ledwie dorastającymi do jego pierwszych konarów. Suchy, wysoki, barczysty i trzymający się prosto, zdawał się składać z samych żyłkości. Jak się przed wiekiem późnym nie schylił kark jego, tak też i późna starość nie zdołała ugiąć silnego i energicznego usposobienia jego, które dotąd, pomimo oczu nieruchomych, mało wało się widocznie na jego twarzy. Była to twarz z niestartymi śladami dawnej urody, której siwe, długie włosy i takąż sama broda nadawały wyraz pewnej szlachetności, u ludzi z ludu rzadko spotykanej. Szczególny to był wyraz powagi, surowości i tej, zdaje się, pewnej wyższości, która niczem nie da się złamać, żadnem zaprzeczeniem nie da się poniżyć.

Pomagała mu do tego ślepotą, która mimowolnie wzbudza poszanowanie, mianowicie przy siwych włosach. Pomagał w tem i sam sobie, przybierając na wszystko, co mówiono, postawę obojętną, którą często spotkać można pomiędzy naszymi wieśniakami. Jest to ich polityka, by się nie zdradzić z niewiadomością, jest to ich także broń odporna, którą jedynie wolno im walczyć—broń koniecznej rezygnacyi, skutkiem zapewne długowiekowej niewoli nabyta.

Chociaż nieraz i z różnych stron nagabywany, umiał się Wasyl utrzymać na swem szczególnem stanowisku, a nawet przy pewnej wziętości, jaką miał w okolicy między wyższymi od siebie. Było-li to skutkiem długiego życia, które mu większe od drugich dało doświadczenie, czy może życie samotne i ciągle rozmyślanie stąd wynikłe wykształciło jego umysł, to pewna, że ktokolwiek z nim rozmawiał, musiał mu przyznać szczególny rozsądek i bystrość pojęcia w rzeczach takich nawet, które, zdaje się, koniecznie pomocy wzroku potrzebują. Ekonomowie z sąsiedztwa, mali dzierżawcy, ubożsi mieszczaństwo z blizkich miasteczek, a nawet niektórzy z księży okolicznych lubili z nim rozmawiać, a nawet czasem zasięgali rad jego w rzeczach, dotyczących gospodarki, lub tak ważnych przy niej zmian powietrza, które przewidywał z szczególnym instynktem. Z tego też poszło, że mimo swego wyjątkowego położenia, mimo ogromnego wpływu, jaki wywierał na wielkiej liczbie podwładnych sobie żebraków, mimo nieczem nieuprawnionego stanowiska swego, mogącego dawać i w rzeczy samej dającego nieraz pochoch do niejednego nadużycia, dano mu w końcu zupełny spokój, na który zresztą sam osobiście zasługiwał, bo, prócz pobożności niezwyklej, był szczególnie uczynny, gościnnie w swojej chacie, a przytem podwładnych swoich, o ile mógł, w klubach utrzymywał. Jemu samemu nigdy nie zarzucić nie można było w jego wszystkich z ludźmi stosunkach.

Łatwo pojąć, jakie wrażenie robił na prostym ludzie, który go i szanował i bał się zarazem. Widząc go tak starym i tak dzielny umysłowo, prosty lud przypisywał to władzom nadprzyrodzonym. Wieśniacy w całej okolicy wierzyli w to święcie, że on jest obdarzony jakąś

wyższą i tajemną władzą, której istoty nie śmieli dociekać. To pewna, że starego Wasyla żaden z wieśniaków nie śmiałyby urazić, a tem więcej zrobić mu jaką krzywdę, którą tak łatwo wyrządzić człowiekowi ciemnemu, prawie zawsze samotnie siedzącemu w chacie.

— Ba! on ciemny, ale lepiej widzi od takich, co mają oczy.

Na dowód czego opowiadali tysiące zdarzeń, w których objawiło się to jego cudowne widzenie. Właściwa zwykle nawet ciemnym władza poznawania innych po głosie, po stapaniu, po najmniejszym ruchu u prostego ludu nabrała znaczenia potęgi cudownej. Rzeczywiście, władza ta i połączony z nią instynkt dochodziły u niego do stopnia tak niezwykłego, że nieraz, gdyby nie tyloletnie przekonanie o jego ślepotcie, nie jeden przysięgłby, że on swemi nieruchomemi oczyma widzi doskonale.

Wróćmy teraz do siedzącego starca, którego nawet lepiej z działań zapewne poznamy, niżby nas mógł tego nauczyć najdłuższy opis.

Siedział, jak mówiliśmy, zamyślony. Wyraz ten, tak właściwy starości, łączyć się zdawał z jakimś smutkiem, żalem, czy tęsknotą, występującą na twarzy z głębi jego najwewnętrzniejszych myśli. Ta żalność na twarzy, jakby żaloba po tak długiej przeszłości, co tyle zapewne pochłonęła, była mu zwykłą prawie i, silnie robiąc wrażenie, wzbudzała zajęcie. Jeżeli biały rąbek na czarnej sukni mimowolnie wzbudza współczucie, o ileż więcej żaloba twarzy poruszać musi zawsze wrażliwą myśl człowieka.

Uśmiech na twarzy jego rzadko kto widział, chyba na widok, czyli raczej, jak u ciemnego, na dotknięcie ładnej

twarży dziecinnej lub młodzieńczej, zwłaszcza kobiecej. Było to zapewne skutkiem tego, że ostatnią wnuczkę, którą już przed laty kilkunastu pochował, kochał stary Wasyl z nadzwyczajną czułością, pamiętną jeszcze w całej okolicy.

Mimo tego żalostnego zamyślenia, twarz jego w tej chwili zmieniała czasem wyraz. Podnosił głowę; przez ślepe oczy, skutkiem zapewne kaganka, który, na ścianie przybity, ciemne i migające rzucał światło, martwy jakiś przemknął płomień, i oczy te nieruchome zwracały się ku drzwiom wchodowym, jakby w oczekiwaniu kogoś. I może, aby zapobiedz własnej niecierpliwości, żegnał się stary krzyżem świętym, i półgłosem, jakby mimowolnie, wyrывał się z piersi jego jakiś śpiew napół żebraczy, napół pobożny, w którym przebijała się jakaś dziwna nuta smętna, podobna do piosnki śpiewanej przy usypianiu dziecka. Bo te dwie nuty, pierwsza i ostatnia, przy kolebce i trumnie, mają zawsze u ludu naszego coś wspólnego. Nie do rozkoszy on się rodzi, i tę tęsknotę nuty, rzadko kiedy przez ciąg życia błyskawicą wesela rozjaśnioną, zachowuje aż do deski grobowej.

Czasem zwracał oczy ku oknu, po którego przezroczu w noc jasną, czerwcową, jakby mgły dymu, przesuwiał się cień gromadzących się na niebie chmur; i zdawało się, że chce po gwiazdach poznać godzinę, lub zmianę pogody na niebie wypatrzeć. Aż z niezadowoleniem kiwnął głową i znowu ją spuścił.

W tej chwili zaskrzypiał drewniany skobel u drzwi, ale starzec nawet nie spojrział w tamtą stronę.

— Iwanie! — rzekł do wchodzącego. — Już późno, burza nadchodzi, a naszych nie widać.

— Ale dziadek dobrze widzi czas i pogodę — od-

powiedział wchodzący z odcieniem złośliwego szyderstwa.

Nowo przybyły był to jeszcze bardzo młody człowiek, choć może, jak to się u wieśniaków naszych trafia, wskutek życia od małego dziecka spędzanego w niedostatku i ciężkiej pracy, starszym się wydawał, niż był w istocie. Włosy na głowie miał jasne, bardzo ładnego połysku. I twarz była piękna, piękniejsza nawet, niż zwykle zdarza się spotkać u ludu prostego: profil twarzy i delikatny zakrój rysów odznaczał się szczególnem, niezwykłym u wieśniaków piętnem, które, gdyby je zauważył fizyonomista w jakim salonie, a nie w chacie starego żebraka, nazwałby arystokratycznym. Lecz w chwili obecnej z piętnem tem pozostawała w sprzeczności cała postawa młodzieńca, a zwłaszcza jego strój, który nie różnił się prawie od stroju starca. Przybysz bowiem miał na sobie płótniankę, w wielu miejscach łataną, chociaż była tak czysta i z płótna tak jeszcze nowego, że łaty wydawały się niepotrzebnym dodatkiem.

Przez plecy miał zawieszoną torbę żebracza, zupełnie próżną, a w rękę gruby i prosty kij. A jednak w tym całym stroju przebijała pewna pretensjonalność, bo na płótniance był pasek skórzany, nabijany świecącymi blaszkami, koszulę zaś i czarny kapelusz zdobiły jaskrawe i szerokie wstążki.

I w postawie ta sama uderzała sprzeczność. Chociaż prosty, jak świeca, był nad kijem swoim zgięty, wskutek może przyzwyczajenia, nabytego przy żebraniu. Ruchy miał prostacze, ale nie pozbawione pewnego wdzięku, swobody i śmiałości. Śmiałość ta, aż do zuchwałości posunięta, odbijała się także na twarzy i bardzo ją szpeciła. A więcej jeszcze szpecił młodzieńca wyraz oczu,

dziki, złośliwy i namiętny, nie godzący się zupełnie z śliczną błękitną ich barwą. Dzika złośliwość, przebijająca się w spojrzeniu młodzieńca, miała w sobie coś złowrogiego, bo jakoby świadczyło o głębokiem zepsuciu, boleśnie uderzającym w tak młodym człowieku i nie rokującym na przyszłość nic dobrego. Z oczu tych zdawała się nawet strzelać przyczajona zdrada, czyhająca na sposobność do zbrodni.

Stary zwrócił na niego twarz surowszą, niż zwykle.

— Nie o to tu chodzi, co ja widzę, a czego nie widzę! — rzekł do niego z wyrazem ostrego wyrzutu.

— Ja chciałem tylko, dziadku...

— Milcz! — zawołał stary głosem tak grzmiącym, że trudno było uwierzyć, iż taki głos mógł wyjść z piersi tak starej.

I gniew potężny, piorunujący wystąpił na twarz starca.

— Ja się pytam — mówił dalej tonem już obojętnym — czy nie widać tam kogo z naszych w karczmie. Bo zapewne stamtąd wracasz — dodał pogardliwie.

— Tym razem pomyliliście się, dziadku — była odpowiedź zuchwała i niemal drwiąca.

Ton tej rozmowy między starcem a młodzieńcem był taki, jakgdyby między nimi wrzała zabopólna nienawiść. I tem był dziwniejszy, że Iwan był ostatnim potomkiem licznej niegdyś rodziny króla dziadów. Był synem jedynym jego ulubionej wnuczki, a zatem jedynym dziedzicem jego władzy. Wszyscy z podwładnych Wasyla i obojętniejszych sąsiadów wiedzieli o tem i dziwili się bardzo, że stary nie lubił prawnuką i od małego dziecka okazywał mu tę nienawiść łajaniem, a nawet biciem nie zawsze sprawiedliwym.

— Ja byłem koło dworka Goździkiewicza.

— Cóż tam wyżebrzesz u tego biedaka, który sam w nędzy, choć na nią nie zasłużył?

— Ja nie żebrałem, ja się patrzyłem przez okno na Hanię.

— Ha Hanię! ty? — zawołał stary, znowu wybuchając gniewnie. — Czym ci już tego tyle razy nie zakazał? To dobre i mile dziecko nie dla takiego, jak ty...

— A cóż ona lepszego?... córka ekonoma bez miejsca, a ja przecie syn króla.

Przycisk, z jakim to wymówił, był szatańsko szyderczy.

— Nie dla takiego łotra, jak ty! powiadam. Anioł Boży nie dla czarta!

— Jakoś to będzie. Mam ja czas.

— Ty masz czas!... Głupi młodzik! ja jeszcze żyję... i zrobię porządek, nim umrę.

Zadrżałby stary, mimo całej energii swojej, gdyby mógł być dojrzyć wzrok namiętny, jakim Iwan błysnął na niego.

Nastąpiła chwila milczenia. Wasyl widocznie czynił wysiłki, aby się uspokoić. Iwan tymczasem oparł się o ścianę, ciągle szyderczem spoglądając na starca okiem.

— Czy nie widziałeś Semenę? — przemówił nareszcie Wasyl.

— Semen nie za mną chodzi ciągle.

— Tam chodzi, gdzie ja mu każę.

— Tak! — rzekł Iwan. — On teraz wciąż lazi, jak cień, za tym z dworu wyżynieckiego paniczem, który zaczyna się kręcić tam, gdzie ja nie chcę, aby się kręcił. Ale niech się strzeże paniczek! Bo kogo Iwan znienawidzi, tego i Semen nie dopilnuje.

— Co? — zawołał stary grzmiącym głosem i nagle stanął za stołem w tak groźnej postawie i z twarzą, takim gniewem palającą, że tym razem Iwan, mimo całej swojej zuchwałości, przestraszył się.

— Ja tylko chciałem dziadkowi powiedzieć — przemówił głosem, który udana obłęśność czyniła jeszcze fałszywszym i nieprzyjemniejszym — że, że...

Starzec usiadł znowu na ławie i pochylił jeszcze niżej głowę, jakgdyby złamany wybuchem gniewu. Czy zmęczony, czy zamyślony, zdawało się, nie uważał na Iwana i nawet nie słuchał słów jego.

— Że — ciągnął Iwan dalej — mnie to przykro i boleśnie, że Semen tak się przywiązał do syna tego, którego przecie dziadek nie może lubić... Bo choć ja dobrze nie wiem, ale ten stary hrabia...

Iwan widocznie się wahał, bojąc się rozbudzić gniew starca. Wahał się dokończyć myśli swojej.

— Bóg za nas wszystkich czuwa w niebie! — wyrzekł stary powoli, jakby z własną gadał myślą.

— On was, dziadku, ukrzywdził... A we mnie aż krew się burzy, że wy, zamiast zemścić się... a toby łatwo się udało, i stare nasze dziady nieraz wybierali się... podpalić...

— Jeszcze anioł czuwa! — mówił stary dalej, po-grażony, zdaje się, w myślach swoich.

— Anioł? — zapytał Iwan ciekawie.

Ale to pytanie nie obudziło zadumanego starca.

— Ale on wyleci kiedyś!... porzuci grzesznika!

— Porzuci?... kto? — coraz ciekawiej badał Iwan.

— A wtenczas stary Wasyl zemści się... i umrze.

Aż się zbliżył Iwan do starego, tak był ciekawy zrozumieć tych słów znaczenie.

— Już idą nasi — przemówił nagle starzec zwyczajnym głosem.

— To burza idzie — powiedział Iwan.

Jakoż w rzeczy samej huk burzy zbliżał się coraz więcej do góry z monasterem.

— Burza idzie od Niżyniec, a nie długo poleci sobie w Karpaty.

Mimo huku burzy, dobrze słyszał stary Wasyl kroki idących, bo po krótkiej chwili otwarły się drzwi chaty i zaczęło się schodzić to jeden po drugim, to kilkoro razem, liczne bardzo towarzystwo, które wnet prawie całą zapełniło izbę. A ciekawe było to towarzystwo, zebrane z samych żebraków. W śnie tylko lub w podnieconej wyobraźni możnaby zobaczyć taki zbiór postaci brudnych, obdartych, połamanych, pokrzywionych, kiwających się, z twarzami, na których wyryte były wszelkie najohydniejsze namietności, jakie tylko mogą zeszpecić twarz człowieczą. Byli tam mężczyźni i kobiety, starce i dzieci; ślepi, kulawi, wykrzywieni najokropniej, z najstraszniejszymi ranami, bezwstydnie okazywanymi, jakby najszlachetniejsze znamiona. Były karzelki z twarzami ogromnymi, jakby od olbrzymów oderwanymi, i olbrzymy barczyste, z rękami wielkoludów, z kosturami rozbójniczymi, z małutkimi twarzami karlemi, na których ledwie pojąć można było, jak się może tyle ohdnych pomieścić wyrazów. Jedni z nich szli okrzakiem, drudzy czołgali się na rękach, na kolanach, pełzając, jak węże, jak gadziny, którym jad wyzierał z zezowatych oczu.

A każdy, przybывая, mówił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Te usta, pokalane wszystkimi możliwymi grzechami, nie wyłączając prośb zbrodniczych, śmiały wymawiać

to wielkie Przedwiecznego imię! To, Boże! największy może dowód Twojej wszechmocności, kiedy i takie usta niegodne, mimowolnie może, zmuszone są chwalić Ciebie!

I każdy przybyły podchodził lub podpełzał do starca z uszanowaniem, pełnem pokory, jakiej oznak nie odbierał może najpierwszy monarcha świata.

Stary każdego pozdrowił z powagą i każdemu odpowiedział na jego pozdrowienie: Amen.

I każdy z osobna przeżegnał się znakiem krzyża św., tuż przed starym stojąc, i pocałował go w rękę.

A on każdego dotknął się czoła, jakby chciał każdego dotknięciem poznać i znakiem krzyża, zamiast słów, przywitać. I sam nalał wódki do czarinki i napił się do nich, i każdemu z osobna nalewał i podawał czarinę wódki do wypicia, na znak swojej królewskiej gościnności.

A potem wskazał na chleb i sól, na znak, że zgromadzeni są mu pożądanymi gośćmi. Każdy sięgnął to do torby, to za pas, to za pazuchę, i wydobył jakiś kawał noża; i zaczęli wszyscy krajać chleb, i za każdym razem piskliwym a zawodzącym głosem dziękowali goszczącemu ich królowi.

Wasyl nalał dla gości swoich po drugim i trzecim kieliszku wódki, ale sam nie pił już więcej. Po kilkukrotnem wychyleniu kieliszków, zmieniła się scena nie do poznania, jakby dekoracye teatralne. Podochoćni żebracy ożywili się, rozruszali i coraz więcej prostowali. I nie było już ślepych, nie było chromych, nie było garbatych, nie było krzywych, ani też pełzających. W różnych susach podskoczyli wszyscy, jakby chcieli zrzuć co prędzej udany przymus kalectwa. Popadały kostury, powyrastały karły, pucinanane ręce nagle podra-

stały, a jatrzące się przed chwilą rany poznikały. Nawet głosy, zmieniły się i z żalosnych i słabych stały się naturalnymi i silnymi. Najgłośniej zaczęli przemawiać niemi, nawołując się nawzajem najrozmaitszymi głosami, jakby chcieli sobie powetować długie przymusowe milczenie. Powstał zarazem gwar i ruch niesłychany, wesoly. Ozwwały się przekleństwa i śpiewy nabożne. Śmiech i zawodzenie zlały się w jeden chaos. Widok tego zgromadzenia byłby w tej chwili zajmujący do najwyższego stopnia, gdyby jednocześnie nie był obrzydliwy zarówno pod względem fizycznym jak i moralnym.

— Cicho teraz! — przemówił nagle Wasyl głosem donośnym.

Wszyscy umilkli, jakby za poruszeniem pierwszego smyczka w orkiestrze.

— Zbliżcie się i mówcie, co macie mówić, bo już późna godzina.

Przystąpiła stara kobieta, rzuciwszy na bok drewniane kule i powiewając chustką, która przed chwilą obwijala jej zdrowiuteńką twarz.

— Byłam aż w Sołotwinie — mówiła głosem rubasznym i z miną wesołą. — Trafiłam na jarmark. Ależ to tam było wesoło! To się człowiek nabawił, napił i nahał między tymi pocziwymi góralami! I zebrało się nie mało, bo to lud miłosierny i lubi śpiewki. A ja im też śpiewałam! oj, com śpiewała, tom śpiewała!

— Kończ, Paraszko! — rozkazał król krótko.

Paraszka zamilkła i z węzelka, w chuście zawiązanego, wyjęła sporą garść rozmaitej monety. Król dziadów wziął pieniądze, przerachował głośno i, zwróciwszy się ku stojącemu z boku przy ławie drewnianemu kufrowi, wrzucił do niego przez otwór, w nim zrobiony.

Potem wystąpił z tłumu młody chłopiec, niedawno jeszcze dziecko. Podrygując krzywemi nogami, zbliżył się do stołu z wesołym uśmiechem i wykrzywieniem twarzy umyślnem, nadzwyczaj komicznem. Był to po Paraszce najweselszy z całej zgrai żebrak, prawdziwie urodzony komedyant, który umiał naśladować doskonale wszystkie głosy ludzkie i zwierzęce. Na jego widok zwykle wszystkie twarze żebraków śmiały się, jakby na jakiej komedyi.

— Ja byłem tylko w Dolinie. Po co mi było dalej chodzić, i szukać jarmarków i Huculów? Siedziałem sobie przy trakcie, co wiedzie do Stanisławowa. A jak kto jechał, ja mu zaraz po nosie poznałem, czego mu potrzeba: czy płacziwej pięści, czy koziołków. I koziołki więcej mi przyniosły. Moje koziołki sławne były w Dolinie. Czasem przed austeryą Dawida Szmulewicza po dwie godziny chodziłem do góry nogami.

— Kończ! — wyrzekł znowu król dziadów.

I młody Fedko złożył swoją daninę żebraczą do wspólnej skarbonki.

Po nim przyszedł dziad z twarzą okropnie posępną i z lirą w rękę. Był to tragiczny zgrai żebraków, płaczący zawsze i narzekający, z czego drudzy żebracy śmieli się więcej podobno, niż z komicznych śpiewek Paraszki i koziołków Fedki. Chyba, że im czasem rozpowiadał jakie bajki, które ze słyszanych gadek ludowych przerabiał ciągle nie bez pewnego talentu.

— Ja się kręciłem aż koło Kałusza—zaczął piskliwym głosem. — Ale co stary robi? Ot, bieda staremu! Nie tak to było za dawnych czasów; chodzili po świecie czarownicy! — mówił dalej i otarł brudną weretą łzy, kapiące z wiecznie od płaczu zaczerwienionych oczu. —

A teraz — dodał — to najwyżej chyba suchy kawał chleba dają człowiekowi.

— Bo ty, Tymko, żarłok! ciąglebyś jadł tylko — zawołała wesola Paraszka.

— A ty, pijaczka! ciąglebyś piła! — odpowiedział Tymko żałośnie.

Wszyscy żebracy głośnym parsknęli śmiechem.

— Cicho! A ty kończ! — zawołał znowu król dziadów.

I mała garstka najdrobniejszej monety wpadła do wspólnej skarbonki, przy wtórze łzawego westchnienia Tymka.

I występowali inni, jeden po drugim, starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, i po krótkim sprawozdaniu przyniesione pieniądze wpadały do skarbonki.

Nie będziemy przywozili szczegółowo wszystkich tych sprawozdań, które mniej więcej były do siebie podobne i znudziłyby czytelnika. Przytaczając tylko kilka przykładów, chcieliśmy pokazać, jak się utrzymywało to szczególne towarzystwo żebraków, zespolone w jedną dziwną naturę, hierarchię.

I nie jest to zmyślenie powieściowe. Takie towarzystwa, rozgałęzione po całym kraju, istniały od dawien dawna u nas i istnieją jeszcze dotąd, chociaż codzień zmniejsza się ich liczba i upada władza królów dziadów.

Jeden król dziadów istnieje dotąd i mieszka w Stryjskiem, we wsi Hoszowie, nad rzeką Świcą położonej. Ojciec jego, dziad i pradziad byli królami. Często królowie muszą być ślepi, a mimo tego ślepe jest dla nich posłuszeństwo podwładnych mu żebraków. Taka hierarchia, mająca za sobą uprawnienie czasu, dziwnem jest

zaiste zjawiskiem i dowodzi tylko, że w każdej, najniższej nawet i najciemniejszej klasie odzywa się instynkt stowarzyszania się w pewne ciała odrębne, odgraniczające się od drugich własnymi zwyczajami i trzymające się razem dla własnej korzyści. Podobne stowarzyszenia, ugruntowane na ślepej posłuszeństwie i ustalone tradycyjnym niejako przesądem, istniały od najdawniejszych czasów, nie tylko u nas, ale i w innych krajach. Królowie dziadów istnieją w narodach najościwieńszych i mają swoją hierarchię żebraczy; podobnie bywają królowie Cyganów, królowie rzezimieszków, o których wiadomości znajdujemy nie tylko w podaniach ludu, ale i w starych kronikach.

Władza królewska króla hoszowskiego opiera się tedy przedewszystkiem na ślepej posłuszeństwie żebraków dla swego króla. Ten ich zwołuje od czasu do czasu do siebie, by wysłuchać raportów, dowiedzieć się, gdzie co się dzieje, zbiera od nich wiadomości o jarmarkach, zabawach, lub innych okolicznościach, z którychby żebracy mogli skorzystać.

Król dziadów, wysłuchawszy ich, nie pytając o zdania poszczególnych członków, nakazuje, by się w tę lub ową udali stronę, zatrzymując się krócej lub dłużej w miejscach wskazanych. Pieniądze zebrane żebracy oddają królowi, który pomiędzy nimi samymi ma swoich szpiegów, gotowych zdradzić kolegę, któryby co chciał ukryć z wyżebranych pieniędzy. Kasa pozostaje pod samowolnym zarządem króla, który jej używa, jak mu się podoba, mając wszakże na względzie zawsze dobro podwładnych, byt ich i okupując nieraz czerpanymi z niej pieniędzmi wolne waleśanie się. Także w czasie choroby, lub w razie śmierci, król daje z kasy na leczenie się

choremu, a umarłemu na pogrzeb. Prócz tego, gdy żebracy przychodzą do niego, raczy ich hojnie i gościnnie wódką i chlebem, czasem nawet aż do zbytku, którego w jedzeniu i picu żebracy są wielkimi miłośnikami.

Biada nieposłusznemu: wyszturchanego porządnie wypędzają z towarzystwa, co nie małą jest karą; bo gdzie go spotkają, a trudno, by nie spotkali, włócząc się po całej okolicy, a nawet po całym kraju, znowu go częstują kuksańcami i nie dają żebrac, a więc odbierają mu jedyny, jaki ma, sposób zarobkowania. Tak samo postępują z innymi żebrakami, nie należącymi do ich własnej hierarchii. A tak silną mają przewagę moralną, łatwą wreszcie do wytłómaczenia, że obcy nawet żebracy bez oporu ustępują z miejsc, zajętych przez uprzywilejowanych żebraków.

Ale wróćmy do powieści.

Gdy się skończyły sprawozdania i wszystkie pieniądze zeszły się do skarbonki, co dosyć długo trwało, król dziadów powtórzył poczęstunek, nie dozwalając wszakże, by ochotniejsi do hulanki przebrali miarę w ulubionym trunku. Pod tym względem Wasyl był nieublagany. Ani pijakowi, ani złodziejowi nigdy nie przebaczył. Skoro wina została ujawniona, zaraz winowajcę wypędzał.

— Wiecie, że jutro jarmark w Niżyńcach?

— A wiemy! — zawołali wszyscy radośnie, bo choć włóczęgowskie zawsze prowadzili życie, najmilszym był im ten zakątek, który uważali za swój własny wyłącznie. Każdy żebrak i każda żebraczka mieli w Niżyńcach lub koło Niżyniec swoich znajomych; a cóż miłszego dla włóczęgi i próżniaka, jak, wróciwszy z wędrówki, przed znajomymi opowiadać i kłamać, co się przeżyło i czego się nie przeżyło.

— Jutro trzeba, abyście wszyscy byli w Niżyńcach. Zanim nabożeństwo się skończy, wszyscy zasiądziecie przy kościele. Ale abyście się szczerze pomodlili i prosili Boga o przebaczenie grzechów waszych, jak was uczy Ojciec nasz!...

— I wrogom przebaczyć trzeba? — ozwał się głos jakiś z ciżby żebraków.

— Milcz, Semen!... A wy słuchajcie! — odrzekł stary Wasyl z powagą, która mogła wzbudzić dla niego szacunek nie tylko wśród żebraków.

Semen, ów żebrak dobrze już nam znany, który wszedł właśnie w tej chwili, zamilkł, chociaż wszyscy wiedzieli, że był prawą ręką i ulubieńcem króla dziadów. Nie mógł przecie wytrzymać i oko jego błysnęło ogniem, który bynajmniej nie zwiastował przebaczenia wrogom.

— Po nabożeństwie rozejdziecie się po miasteczku i po przedmieściach. Semen wam powie, gdzie który ma stać i przed którymi dworakami najgłośniej żebrac. Bo wy wiecie!...

— Dziadku! — dał się słyszeć fałszywy głos Iwana — tu jest jakiś obcy...

— Obcy?! — zawołali żebracy, wyciągając groźnie to żyłaste ręce, to długie biczyska, mające ich bronić od psów.

Na te słowa Semen wysunął się naprzód, zakrywając sobą stojącego w cieniu mężczyznę, ubranego po huculsku. Kto był obcy, trudno było poznać po jego powierzchowności, która nie znamionowała zamożnego, ale też nie wiele miała w sobie żebraczego. Suknie jego huculskie były proste, ale czyste i porządne, miał kij w ręku, ale, jak prawdziwy góral, z toporkiem. Twarz

trudno także było rozpoznać, bo tylko spodnią część dostrzedz można było, po której sądząc, musiał to być góral młody i śniady. Wierzchnią część twarzy wraz z okiem zakrywała ukośna biała przepaska i szeroki huculski kapelusz.

— To góral z za Skolego! — ozwał się Semen głosem imponującym. — Ja za niego ręczę.

— Kto?... kto taki? — wołali wszyscy, okazując niezadowolenie i nieprzychylnie, a nawet groźne rzucając na obcego spojrzenia.

Najgłośniej krzychał Iwan, chcąc się do obcego przechać przez dzielącą go od niego ciżbę żebraków.

— Ty ręczysz za niego, Semen? — zapytał stary król najspokojniej, bez wszelkiej oznaki zadziwienia.

— Ja ręczę za niego! — powtórzył Semen. — Spaliła mu się chata i oko stracił przytem; musiał pójść na żebry i chce się do nas przyłączyć.

— Niema u nas tego zwyczaju! Nieprawdaż, dziadku? — krzyknął Iwan głosem, w którym przebijała się dziwna namiętność.

— A prawda! niema zwyczaju! — ozwało się kilka głosów.

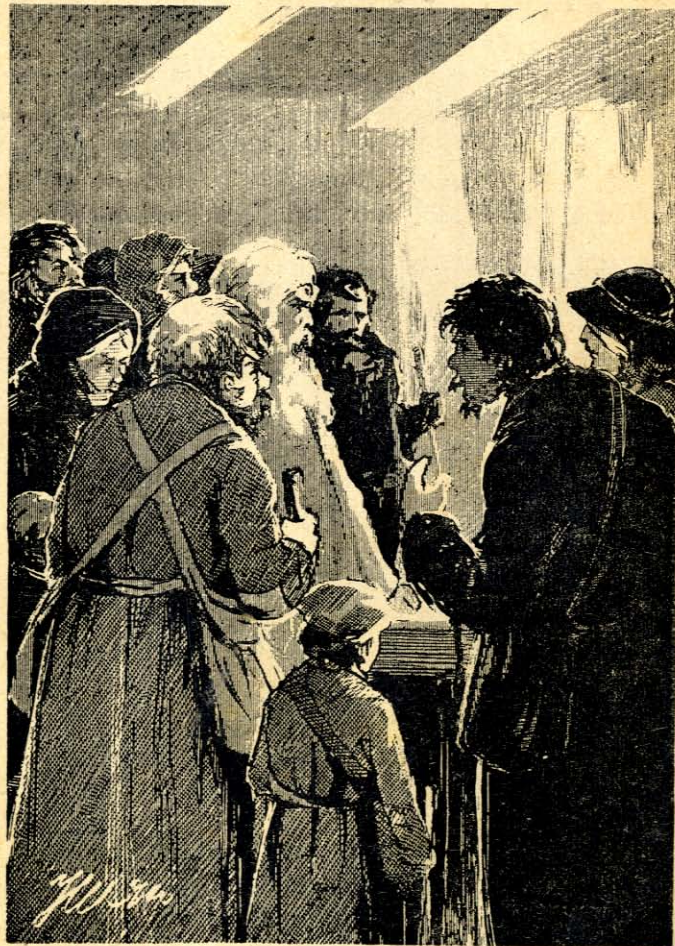
Większość żebraków zaczynała się uspokajać, bo po królu Wasylu Semen najwięcej między nimi był szanowany.

— Milczcie! — zawołał król. — To do mnie należy!

Wszyscy zamilkli.

— Iwanie! ty pójdziesz zaraz — rzekł znowu starzec głosem znacznie groźniejszym, ale z pewnym odcieniem wzruszenia.

Jakgdyby widział ciemnymi oczyma, że się Iwan



— To góral z za Skolego! — ozwał się Semen.

przybliża milczkiem do nieznajomego, i jakby chciał temu przeszkodzić.

— Poprowadzisz starszych z sobą. Idźcie zaraz... słyszycie? Przy figurze św. Floryana, pod miasteczkiem czekać będziecie na Semenę, który z młodszymi przyjdzie nad ranem. No, idźcie! — dodał spokojniej. — Niech was Pan Bóg, Przenajświętsza Panna i święty Onufry szczęśliwie prowadzą.

— Bądźcie zdrowi, batku nasz! — odrzekli wychodzący, pchając przed sobą Iwana, który się ciągle odwracał i aż zgrzytał zębami ze złości.

— Idźcie sobie pomału! — ozwał się znowu stary łagodniejszym głosem. — Semen was dopędzi. On wam wszystkim powie, co macie robić po jarmarku.

Powtórzyło się pożegnanie i pozdrowienie. W izbie pozostali tylko: król dziadów, Semen i młody Hucuł z obwiązaną twarzą. Nastąpiła chwila milczenia. Stary Wasyl zwrócił ślepe swe oczy ku stojącym w kącie. Przybrana powaga i uroczystość ustępowały mu pomału z twarzy, a natomiast występował zwykły wyraz smutku, aż do rzewności prawie posunięty. Hucuł zdawał się patrzeć z szczególnem zajęciem na siwego starca. W strzelającym z pod kapelusza spojrzeniu zezowatego oka widzieć można było ciekawość i niezwykłą u Huculów pojętność.

— Semen! — przemówił wreszcie król dziadów, a głos jego był tak łagodny, jakby go serdeczne łzy rozmiękczyły. — Przybliżcie się obadwaj. Jeżeli chcesz być naszym, według zwyczaju, ja cię muszę widzieć, by poznać z twarzy, co jest w twojej piersi: prawda czy fałsz. A że stary król dziadów, jak go ludzie nazywają, ciemny jest i oczyma już nic widzieć nie może, Bóg

pozwała czasem tej łaski, że, gdy się dotknę tymi palcami twarzy i oka, poznam, co jest w twojej piersi — prawda czy fałsz.

Semen odwrócił się do obcego, skrobiąc się w głowę, jakby myślał, jak mu całą rzecz wyłożyć. Lecz Hucuł, nie zważając na mimikę Semena, już stał przy ławie, pociągnięty mimowolnym szacunkiem dla siwych włosów, słodkiego głosu i szlachetnej twarzy starca.

— Dotknijcie się, staruszkę — rzekł głosem mimowolnie wzruszonym — i oczu i twarzy. Niema dla was fałszu w sercu mojem.

— Głos twój jest piękny i czysty. Fałszywi ludzie nie mają takiego głosu — rzekł król dziadów łagodnie i nawpół podniósł się na spotkanie Hucula. Drżącą ręką pociągnął po jednym góralskim oku i po jego gładkiej, śniadej twarzy. W zupełnym milczeniu przeciągnął ręką kilka po obliczu, a potem podniósł obie ręce i ruchem szybszym od myśli raz jeszcze złożył je na głowie, z której zsunął się kapelusz góralski. I trwał tak chwilę.

Dziwne było wzruszenie starca; czy to pod wpływem chwilowego usposobienia, czy może jakiego przypomnienia, rozbudzonego dotknięciem się młodej głowy, oczy starca nagle zabłysły nie życiem, nie wzrokiem, ale dwoma łzami, które pomału po nieruchomych oczach ściekły, jakby po zimnym kamieniu.

I młody Hucuł zadrżał mimowolnie. Młode i czule zapewne serce jego uległo chwilowemu wzruszeniu na widok całej postawy starca, opróśnionej wyrazem takiej szczerzej rzewności, że się ledwie wstrzymać można było od łez, patrząc na tę twarz, prawdziwym uczuciem uszlachetnioną.

Nawet wzrok fałszywy zimnego Semena złagodniał,

a na chudych i cienkich jego ustach ukazał się uśmiech, po raz pierwszy, może nie szyderczy.

— Idź teraz i poczekaj za chatą na Semena. On cię zaprowadzi na nocleg. Ja go zaraz puszcę — wyrzekł stary.

Hucuł wyszedł, a król dziadów machinalnie zwrócił za nim spojrzenie ślepych oczu.

Po dość długim milczeniu, ozwał się do Semena głosem zwykłym, prawie obojętnym:

— Pilnuj swego Hucula, bo w sercu Iwana czai się do niego nienawiść.

— Oj, ten Iwan! — zawołał gwałtownie Semen — to szatan prawdziwy!

— Cicho, Semen! — rzekł starzec głosem, który stawał się coraz ostrzejszy, surowy i prawie groźny. — Przyjdzie czas!... Bóg dozwoli, że doczekam się!... a wten czas każdemu będzie wymierzone według zasług. A oskarbie tego skapca czy wiesz co? — dodał po chwili.

— Dziś widziałem, jak stary sknera jechał do pasieki, i gotów jestem przysiąc, że wioził z sobą swój skarb. Jeżeli zakopał w pasiece, to ja go znajdę...

— Nie potrzeba!... Ja znam to miejsce!... to miejsce! Semen! i ty je znasz...

— Znam.

— Lepszego tam niema. Pilnujże teraz, jak oka w głowie, by nikt nie dotknął skarbu...

— Nikt?... Jakto?...

— Nikt, powtarzam!... aż przyjdzie czas... i raz jeszcze ja będę w tem miejscu!... i będzie ten! ten!...

Tu głos króla dziadów stawał się coraz gwałtowniejszy.

— Idź już! idź, Semen! do swego Hucula. Dziś cie-

pło. Na strychu, na świeżem sianie, będzie mu dobrze...
A o skarbie nikomu!... nikomu ani słowa!...

— I jemu nie?

— Nikomu, Semen! ty mnie znasz, ja wiem, co mówię.

Semen wyszedł, a król dziadów spuścił głowę na piersi i tak całą noc przesiedział. Nie wiadomo, czy spał czy marzył.

III.

Stary ekonom.

Mówiliśmy o drugiej chacie niedaleko chaty Wasyla. Obie były własnością króla dziadów, u którego w tej drugiej mieszkał komornem wspomniany już nieraz w tej powieści Goździkiewicz, były ekonom w Wyżyncach. Do tej chaty przeniesiemy się nazajutrz po zdarzeniach, opisanych w poprzednim rozdziale.

Wnętrza chaty bliżej opisywać nie będziemy, bo, jak każda inna, składała się z jednej izby i komory, z tym jeno dodatkiem, że i na drugiej stronie była takąż sama izba z komorą, a w środkowej sieni ulepiono rodzaj skromnej kuchenki, co wszystko razem, przy większych nieco oknach, nadawało tej chacie pozór dworka. Było jednakże w tej chacie-dworku coś jeszcze, co zaraz na wstępie każdego uderzyć musiało. Wszystkie sprzęty, mniej, niż skromne, chociaż świadczące kształtami swymi o dawniejszym lepszym bycie mieszkańców chaty, zdradzały dzisiejsze ubóstwo; a przecież uderzała tu szczególna czystość i porządek, które tak rzadko u nas przy ubóstwie spotkać można. Było, jak to powiadają, ubogo, ale chędogo. Na czysto pobielonych ścianach, na porządnie zamiecionej podłodze, w każdym ką-

cie znać było gospodarną i troskliwą rękę. Porządniejsze nieco sprzęciki pierwszej izby, składające się z skromnej kanapki dreliszkowej, komódki i szafki, lakierowanych, chociaż dobrze już starych i zużytych, uderzały mile czystością. Jedynym pierwszej izby i całej podobno chaty zbytkiem był zapyłony już przez czas sztych, przedstawiający mężczyznę w siermiedze krakuskiej i takież czapce, z oczyma i palaszem w ręku ku niebu wzniesionemi. Pod tym obrazkiem wisiały na ścianie, w ładnym porządku symetrycznym ułożone: jakiś stary palasz na krzyż z ładownicą po jednej, a nieszczególna fuzyjka z torbą myśliwską po drugiej stronie. W samym środku, między temi trofeami myśliwsko-wojskowemi, wisiał obrazek, malowany na blasze, po którego mocno już pozacieranych konturach raczej domyślić się, niżeli poznać, można było wizerunek Przenajświętszej Panny.

To wszystko razem stanowiło całe bogactwo, a zarazem całe szczęście pana Jana Goździkiewicza, bo tam mieściły się wszystkie jego pamiątki, i lat młodszych, gdy na krótką wymknął się wojaczkę, i lat starszych, gdy co święto i w niedzielę przepędził wolną od zajęć gospodarskich chwilę w kniei, słuchając zaczajony za dębem z fuzyjką w ręku milej przygrywki dwóch pieśków, rozchodzącej się hucznie i wesoło po rannej rosie. Sztychowany portret wojownika w siermiedze i blaszana Matka Boska miał jeszcze od ojca, który czas jakiś także z nieboszczykiem panem wojował, a wizerunek Matki Boskiej nosił na piersiach.

— Hej! hej! inne to były czasy! — opowiadał często, a pasyami opowiadać lubił pan Jan Goździkiewicz. A w opowiadaniach swoich najzabawniej mieszał czasy Napoleona z późniejszymi, przeplatając wszyst-

kie fakta, słyszane czy widziane, mniej sławnemi, ale niemniej milemi i zabawnemi gawędami o zdarzeniach łowieckich, których zbiór posiadał rzesisty. Do nich miał pamięć ogromną, którą przewyższała wszakże jego wyobraźnia. Poczciwy z kośćmi człowiek, ale w opowieściach wojennych i myśliwskich lubił zmyślać, chociaż zawsze twierdził:

— Kłamstwem brzydę się okropnie! U mnie kłamca gorszy od złodzieja.

Goździkiewicz, gdyby nie szczupłość miejsca, jakie dać mu możemy w naszej powieści, wartby obszerniejszej charakterystyki. Był on typem prawdziwym ekonomów, ale nie takich, jakich sobie każdy, z dawniejszemi pokoleniami mało obznajmiony, wyobraża, gdy tę nazwę usłyszy. Prawie każdy wyobraża sobie ekonoma, jako prostaka, mającego rękę do batoga, głowę do hukania, łajania i łkania, a rozum do okradania swego pana, oczy zaś do pielęgnowania własnego dobytku. Na nie-szczęście trafia się to bardzo często; młodsze pokolenie innych nie znało ekonomów. Ale my, starsi, co jeszcze cokolwiek dawniejsze pamiętamy czasy, powinniśmy dla przyszłych pokoleń zachować obraz prawdziwego ekonoma polskiego, jak oni wszyscy prawie byli dawniej na naszej żyznej ziemi, obraz tem ciekawszy, że po zmianie stosunków włościańskich w naszym kraju typ właściwego ekonoma znikł już i stary ekonom polski stanie się wnet mitem.

Takim to ekonomem dawnych czasów był ostatni może Jan Goździkiewicz, do którego ubogiej zaszliśmy chaty.

Jego dziad, jeżeli nawet nie pradziad, i ojciec byli także ekonomami i zawsze w rodzinie Wyżyńskich, któ-

rej wiernie, chociaż może nie bez restrykcji ekonomicznych służyli, biorąc najczęściej z dawniejszego fraucymeru, a później z garderoby swojego państwa żony dla siebie, a matki dla swych synów. I takimi po większej części bywali wszyscy nasi dawniejsi ekonomowie. Trzymali się zawsze jednego skarbu, jednej rodziny i całem sercem przywiązywali się zawsze do swoich panów, do ich majątku, a nawet do chłopków podwładnych. Tym sposobem łączyły się u nas niższe ogniwa społeczne, w kapotach i kurtach, z wyższemi, w kontuszach i deliach, w wielki łańcuch patryarchalnej niejako hierarchii, który, póki trwał silnie, opasywał i trzymał ciało nasze społeczne.

Jak głosiła tradycja rodziny Goździkiewiczów, dziad już ekonomował u pana kasztelana, dziada dzisiejszych panów Wyżyńskich. Kasztelanowa i ekonomowa jednej nocy powiły synów swym uszczęśliwionym małżonkom. O tem wiekopomnej pamięci zdarzeniu rodzinnem pocziwy pan Jan niestworzone opowiadał rzeczy, urozmaicane coraz nowszymi szczegółami. To pewna, że kasztelanostwo trzymali do chrztu małego ekonomczuka, a kasztelanie mocno go polubił, a nawet nieraz małego Tomasza, obdarzonego sprytem, układnością i cierpliwością ekonomiczną, porządnie wyczubił. Później nawet wziął go z sobą, gdy jechał do Warszawy, gdzie go jako panicza wielkich nadziei do konwiktu „scholarum pijarum“, jak wówczas mówiono, oddali. Było to jakoś w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Zaczęły się czasy niespokojne, potworzyły się różne partye. Pan Tomasz Goździkiewicz trzymał się naturalnie partyi kasztelanica, a że ta była jakoś najpocziwsza, więc i pan Tomasz miał sposobność powojować nieco pod onym wojownikiem w siermiedze, o któ-

rym gdy później gadał kiedy, choćby nawet na łanie, wobec chłopców, rzewnymi zalewał się łzami.

Nie długo trwała jego wojaczka, bo go doszła wiadomość, że stary ojciec umarł, a więc z obowiązku musiał zmienić oręż na harap ekonomiczny i wracać co prędzej do osieroconej posady ekonoma w Wyżyńcach, chociaż mógł mieć nadzieję zostania oficerem. Ale dawniej inaczej rozumiano obowiązek sumienia, i pan Tomasz został ekonomem. Kasztelanie, a dobry był to człowiek, chociaż, jak wiemy, nie do rzeczy się ożenił, lubił swego ekonoma i nigdy mu nie zapomnił jego poświęceń dla kraju i dla niego. A chcąc się wywdzięczyć jak najszlachetniej, postarał się dla Goździkiewicza o przyznanie szlachectwa, co w owym czasie łatwo przychodziło, bo trzeba było tylko poświadczenia któregoś z wojewodów, pozostałych w kraju. Kasztelanie pojechał do Krakowa, upijał się dwa razy na dzień przez całe osiem dni z panem wojewodą C. i uzyskał poświadczenie, jako pan Tomasz Goździkiewicz do prawdziwej należy szlachty, herbu Lubicz. I tak oto, choć zawsze ekonom, pan Tomasz został swego pana niejako bratem, bo bratem szlachcicem. Tym to sposobem w owym łańcuchu społecznym kapota lub kurtka mogły się przybliżyć do delii lub kontusza.

Tomasz Goździkiewicz żył długo i miał mnóstwo dzieci, co także bywało w zwyczaju u naszych ekonomów, u których zwykle co rok to prorok. Ale to im zupełnie nie zawadzało, bo czuwała nad ekonomami zawsze opatrność, uosobiona w postaci łaski pańskiej. I żeby nie wiem ile było tych dzieci, ten poszedł za pisarza do dóbr na Wołyniu, ten za leśniczego do kuzynka wojewodzica na Litwę, tamta do pani siostry generałowej za

pannę respektować, tamtą wydano na Ukrainę za pana marszałka dworu pani podkomorzyny, kochanej stryjeczki ciotecznej, i jakoś to było. Pan Jan, najstarszy, a zatem następca natus swego ojca, ciągle pozostawał przy ojcu, a nawet razu jednego — a był, jak sam opowiadał, małym bębniem jeszcze — ojciec wziął go z sobą na wóz i powiózł na Podole. Tam, bądź z własnej woli, bądź może z polecenia pańskiego, zaczął o jakąś ruchawkę i, gdzieś tam puknąwszy, a nieźle, razy kilka, powiedział do małego Jasia:

— Otóż, żebyś wiedział, ty s....., jak się to strzela na wojnie.

— To się ludzi zabija, tatku? — zapytał naiwnie chłopiec.

— A tyś myślał, ośle, co? — odrzekł ojciec i dla lepszej pamiętki pociągnął syna za uszy.

W parę miesięcy potem, a było to jakoś w końcu r. 1809, pan Tomasz Goździkiewicz płakał, jak bóbr, idąc za trumną swego pana. Starszy panicz gdzieś tam uganiał się młodym chłopcem jeszcze za owymi orłami, co to, jak poetycznie wyraził się pan Jan:

— Uganiały się po całym świecie, jak wrony w jesieni.

Młodsze panicza jejmość zabrała z sobą do Wiednia, a stary Goździkiewicz został sam jeden w Wyżnicach; ale już mu do śmierci, chociaż żył jeszcze lat przeszło dwadzieścia, nie wrócił dawny dobry humor, bo stary ekonom polski kochał swoich panów i dobrodziejów, jakby własnych krewnych, a ich zaszczyty i majątek radowały go, jakby własne; prawda, że ten majątek doskonale ich utrzymywał, bo stary ekonom, jeżeli pilnował dobra pańskiego, to głównie od obcych, a już ciż

siebie uważając za swojaka, mógł sam z niego korzystać. Lecz było to najczęściej korzystanie, nie przekraczające granic, nakreślonych przez sumienie, i panom lepiej się przy niem działo, niż potem przy szumnych zabiegach późniejszych mocno edukowanych komisarzy.

Jakże mógł być wesoły biedny Tomasz Goździkiewicz, kiedy nikogo z panów swoich na oczy nie widział, a co roku wiosek ubywało, a przybywało coraz więcej nowych figur, to plenipotentów, to komisarzy, to sekwestratorów.

A choć się później młodszy panicz pojawił, ba i starszy powrócił, obaj mieszkali w mieście, a stary ekonom chodził już tylko osowiały na cmentarz, szukać sobie zapewne miejsca niedaleko od grobu pańskiego.

Pan Jan tymczasem przyuczał się, jak mógł, do gospodarki i najczęściej starego wyręczał. Nagle znikł, jak kamfora. Stary pan Tomasz zgryzł się i przestraszył. A później uśmiechnął się; śnać się czegoś dowiedział lub domyślał.

Cóż to była za zazdrość i co za lzy razem, gdy nagle przyszedł list, datowany gdzieś tam z daleka, w którym pan Jan, pamiętający nauki ojcowskie, pisał do niego nader lakonicznie:

— Już teraz wiem, tatku, jak to się strzela na wojnie. Jestem u strzelców.

Stary bez czapki wybiegł z listem w rękę. Lecz nie było komu listu pokazać w całych Wyżnicach. Podumał chwilę i pobiegł na cmentarz. Spłakał się na grobie swego pana, co go uczynił szlachcicem. Zaziębił się starowina, wróciwszy do domu, dostał pleury i umarł. To szczęście, że pan Jan nie mógł się dowiedzieć szybko o śmierci ojcowskiej, bo byłby zapewne wszystko porzucił, by po-

wrócić do obowiązku ekonomicznego. I drudzy, co, nadzwoniwszy się pałaszami po rozmaitych brukach, powracali przed czasem do domu, byliby naszego Goździkiewicza okrzyczeli za podobnego sobie bohatera.

Gdy nasz pan Jan dowiedział się o śmierci ojca, nie było już i tak co robić, a nareszcie i czas było pomyśleć o nodze, w której jakaś niepoczciwa ugrzęzła kulka.

Posadę swoją zastał niezajętą, dzięki majorowi, który ją dla niego, mimo niewielkiej ochoty pana Ignacego, potrafił zachować. Pan Ignacy tego ekonomczukowi nigdy nie mógł zapomnieć, z jak szczególnie poufałą wesolą młodemu chłopiec wybiegł na spotkanie swego pannie, gdy ten raz zjechał do dóbr swoich. A chociaż ta cała wesola skończyła się na uchwyceniu go za kolana, było w tem coś tak nieprzyzwoitego, tak je ne sais quoi gburowatego, że czuł do niego odrazę, której nie zmniejszył wcale wybryk heroiczny ekonoma, jak to z uśmiechem nazywał, zupełnie dla ekonoma niestosowny.

Pan Jan nie zważał na częste dasy pana Ignacego i, rozpoczynając swoją funkcję ekonomiczną od ożenienia się z jakąś kuzynką Goździkiewiczów, wstąpił zupełnie w ślady ojca i dziada. Jakoż był rzeczywiście typem starego ekonoma polskiego.

Co do wiadomości rolniczych, wierzył, jak w ewangelię, w starą rutynę gospodarską, i chociaż musiał przyjąć wiele nowych metod co do zmiany pól, nigdy tego za dobre nie uważał.

— Nieboszczyk mój dziad i nieboszczyk mój ojciec nie znali tego różnopolowego gospodarstwa, a jednak dobrze się działo. Kasztelan był kasztelanem, a dziś pan mój jest hrabią, Niżyńce dyabli wzięli, a na Wyżnycach są długi. Ta i co!... pan goły i ekonom goły. — Gnój, pa-

nie, to grunt! — dodawał. — Ta i co!... trzeba tylko mieć oko i wszystko w gębie! Pilnować wszystkiego okiem, a wykrzyzczyć mudia gębą. To też u mnie całe gospodarstwo w gębie: i pług w gębie, i brona w gębie, i gnój w gębie. Ta i co!

Po gnoju i gębie, którą rzeczywiście cudów dokazywał, bo jak huknął na jednym końcu wsi, to już chłopcy wychodzili z drugiego końca na pańszczyznę, najwięcej wierzył w harapnik, który jakby buławę odziedziczył po swych przodkach. Co do tego, daremnieby to obwijać w bawełnę. Stary ekonom polski nie może obejść się bez harapnika. To jego grzech rodowy, z krwi zdaje się ekonomicznej pochodzący.

— Już ja próbowałem inaczej. Nic nie pomoże. Żadna inna wymowa nie trafi do mudia.

Chłop u starego ekonoma nazywa się zawsze mudiem.

— Chyba jeszcze wódka wymoże co na nim! — dawał z uśmiechem zupełnej pewności i zadowolenia.

Ale tego mudia pan Jan kochał po swojemu. Nie pardonował mu na polu przy robocie żadnej opieszałości. W tym względzie miał oko naczelnego wodza przy przeglądzie. Każdą nieregularność spostrzegł i, pomknąwszy od prawego, na koniu skakał. Naturalnie nie rozumiał służby ekonomicznej inaczej, jeno na koniu.

— Ja nie nadstawnik! — mawiał z pewną dumą, puszczając dym z krótkiego cybuszka.

Dodajmy do tego, że koń był grubopłaski i silny, by nie łatwo utykał na świeżej roli, a i za chartem pomknął czasem. Przytem pan Jan miał upodobanie w kłaczach głównie i to w srokach, bo te są najwytrwalsze, mawiał.

Więc tedy przy robocie był nieubłagany dla próżniaków i opieszających, ale jak taki mudio przyszedł do niego i zaczął się przed nim skarżyć, że mu pomorek padł na bydło, lub, że mu nie urodziło, albo myszy wyjadły zboże w stożku, lub, co gorzej jeszcze, że mu tam żona czy dziecko zachorowało w chacie, gotów był zaraz z szczerą radą i pomocą.

— Małgosiu! — wołał do żony — a daj-no tam tych kropli, co to wiesz... Ta i co! najlepiej sama zanieś, bo to głupi mudio nie potrafi dać zażyć. Ale weź tam i krup trochę, bo to dziecku słabemu najlepiej uwarzyć trochę kaszki.

Za zubożałym chłopem wstawiał się do pana, narażając się na najgorsze przyjęcie, a jak nic nie uzyskał, to często milczkiem sam przyszedł z pomocą.

A broń-że Boże, żeby się chłop przed nim i oskarżył na pana, choćby najsluszniej. To jego szczęście, jeżeli wyszedł zelżony tylko, a nie obity. W tej mierze pan Jan trzymał się prawidła swoich przodków ekonomów, którzy czuli potrzebę zachowania przyjaznego stosunku między panem a chłopem. Stary ekonom polski, choć często zupełnie nie wykształcony, rozumiał politykę solidarności, której późniejsi zaniechali zupełnie, siejąc naumyślnie niezgodę niedorzecznymi konszachtami z chłopem, a zausznictwem we dworze. I co posieli, to zebrali — kłopotu dla siebie.

Pan Jan w takich razach stawał się mowcą, prawdziwym kaznodzieją, gdy, wywijając ręką a machając harapnikiem, tłómaczył skarżącym się chłopom, że pan nie winien.

— Czy wy wiecie, chamy? — krzyczał, czerwieniąc się od gniewu i zapału. — Pan jest zawsze ojcem.

Ta i co!... A wy jego dzieci, a choć pańska ręka spadnie na którego z was, to milczeć i pocałować, jak dzieci ojca. Tak było za waszych i naszych ojców i dobrze było. To sobie pamiętajcie!

I dopiero pocziwy ekonom bąkał im jakieś duby świeżo zaimprovizowane, w których póty przekreślał znane jakieś zdarzenie, płacząc je z innemi zdarzeniami z czasów nieboszczyków panów i ekonomów, póki chłopi, skrobiąc się w głowy, nie wyrzekli:

— Ta-że to prawda, szo wy każecie! Ale przecie ktoś winien!

Wyszukanie winnego było najmocniejszą stroną pana Jana. To mu najłatwiej przychodziło. Winowajcę zawsze znalazł, choćby nim był sam dyabeł.

To też chłopci, mimo krzyku, szturchańców i operacyi harapnikowych, szczerze przywiązani byli do swego ekonomy, i gdy się wynosił bosi prawie i goły z Wyżyniec, wszyscy płakali, a co więcej, sami mu odwieźli jego skromne sprzęty, a baby szły za wozami, niosąc i pieszcząc małe jego dzieci. Nie było tygodnia, żeby chłop lub baba niżynieccy nie przyszli do niego i, pozdrowiwszy go imieniem Bożem, nie obdarzyli jakim datkiem, choć skromnym, ale z serca danym: to osetką masła, to plaskanką sera, to kopą jaj, a nawet jakim kogucikiem lub kureczką.

Jeszcze jednej dotknąć musimy, a najdrażliwszej kwestyi, to jest tyczącej się moralności ekonomicznej. I w tym względzie pan Jan szedł za przykładem swych przodków ekonomów.

Majątku pańskiego pilnował, jak swego, i chyba cudem jakim udać się mogła kradzież jaka w stodole, na gumnie, lub w polu, bo jakby miał sto par oczu, sto rąk

i sto nóg, pan Jan od dnia do dnia jednej prawie i tej samej chwili wszystko zobaczył, wszędzie był, i winowajcę, jeżeli się jaki nadarzył, własnymi chwycił i karał rękoma. Nieraz, jakby go co tknęło przez sen, wybiegł z domu i piorunem wpadł na gumno, do obory, lub popędził na sroczce — tak się zwała klacz jego ulubiona — w pole, na łąkę, na sianożęć i, jeżeli tylko było co do odkrycia lub schwytania, odkrył i schwytał pewnie.

Ale pilnując majątku pańskiego, jak swego, nie dziwnego, że pod niektórymi względami uważał ten majątek istotnie za własny. Nie ażeby, po prostu powiedziałszy, kradł — a broń Boże!... pańskiej obory, gumna, stodoły, nie dotknął się — ale nie bronił swojej oborze chować się pańskim sianem, słomą, lub nawet ziarnem.

— Ta i co?... Ja nie dla siebie biorę, ale dla tych biednych stworzeń boskich, które mi Stwórca dał.

Albo co do obrobienia jego ogrodu: oczywisty byłby grzech najmować robotnika, mając pańszczyznę. To też, choć pewnie i panu najsumienniejszemu dopilnował, niemniej przeto pańską pańszczyznę miał zawsze ogród i swój dodany sobie kawałek pola tak obrobione, że mógłby karczochy sadzić.

Ale za to stary ekonom nie wdawał się w konszachty z arendarzem, prócz chyba wódeczki, którą mu arendarz sam przynosił i za którą stary ekonom płacił zawsze jakimś mglistymi przyrzeczeniami jakiegoś wstawienia się u dziedzica.

Toż samo i z obcymi kupcami. Niechby mu który zaproponował jakie szachrajstwo, wyszedłby gorzej od Zabłockiego, bo temu źle poszło po mydle, a tamtemu poszłoby najgorzej po skórze.

I z tego to powodu nawet postradał pan Jan swoje miejsce, na które zapracował chyba własnymi i przodków zasługami. Żydów wogóle nie lubił.

— Oni Chrystusa umęczyli! — mawiał — i jeszcze go w ostatniej chwili na trunku oszukali. Naszą szlachtę pocziwają krzyżują codziennie i męczą, wyciskając z niej ostatnią krew, a naszego mudia tumania lichą wódką.

Ze wszystkich zaś Żydów najgorzej nie cierpiał nasz ekonom Sruła Feigele. Sam żadnej z nim nie miał styczności, ale tego nie mógł darować, że pana hrabiego wciągał w coraz inne, a zawsze lichwiarskie interesy, które przeczuwał, że go do reszty zrujnują.

Nieraz próbował przedstawić hrabiemu z całą pokorą ekonomską złe skutki takich układów z Żydem, ale ofuknięty, i to nieraz dosyć surowo, usuwał się pomału i w końcu już tylko wzdychał, ruszając ramionami.

Aż tu razu jednego Sruł Feigele, nabywszy znaczną ilość wódki u pana Ignacego, zaproponował naszemu Goździkiewiczowi, który miał klucze od magazynu, aby więcej dał wódki, przyczem jemu przeznaczał pewny procent. Rozmowa ta odbywała się we cztery oczy, w magazynie.

Goździkiewicz na te słowa macnął się za pas, bo zawsze prawie rzemieniem był przepasany. Jak na toż zapomniał harapnika w domu. Co tu robić? Ogląda się na wszystkie boki, szuka oczyma — nadaremnie! Żyd zaczyna blednąć i drzeć. Wtem genialna myśl przychodzi Goździkiewiczowi. Ma w ręku cztery olbrzymie klucze gospodarskie na porządnym rzemyku. Nie długo myślarć, jak podniesie, jak wywinie, a jak powtórzy! Nigdy jeszcze pan Sruł Feigele nie był w takiej łaźni.

Łatwo pojąć, że Żyd, któremu Goździkiewicz na długo klucze wylitografował na skórze, zaprzysiągł mu zemstę.

I póty szczuł na niego pana Ignacego, póki ten, którego już i rozum odstępował w końcu, nie odprawił najstarszego i najwierniejszego sługę, a wziął natomiast jakiegoś eleganta i franta, zarekomendowanego przez Sruła.

Nie trudno przyszło Żydowi namówić pana Ignacego, bo ten, jak to już napomknęliśmy, nie lubił nigdy naszego Goździkiewicza. I biedny ekonom nie mało się przez to nacierpiał, ale znosił najcierpliwiej, bo jego życie zrosło się już niejako z tą rodziną, której tak długo służył, z tą wsią, w której się urodził, w której każdego wieśniaka znał po imieniu i w której nareszcie tam za wsią, na cmentarzu topolami otoczonym, leżą dziad i ojciec, babka i matka jego i parę już jego własnych spoczywa dziątek.

Wszystko więc był gotów znieść i, znosząc najnieśluszniej, bał się oddalenia gorzej śmierci. Pominawszy traktowanie samego hrabiego, mrukliwe i z góry, a często nawet słowa obelżywe, które go boleśnie ranily, od kilkunastu miesięcy przestał mu płacić zupełnie. Goździkiewicz, zrobiwszy parę pokornych przedstawień, przestał się naprzykrzać i zamilkł. A nawet nie skarżył się nigdy przed majorem i samą hrabiną, chociaż wiedział, że ci go lubią. Uznanie, jakim go zaszczycali, było dlań pociechą.

— Na co ich mam gryźć? — mówił do żony — mają oni już i tak nie mało do zniesienia. A to przecież dzieci nieboszczyka kasztelanica, świeć mu Boże, z którym mój ojciec, ot z tym tam harcował na Mazurach. Ta i co! — dodawał — mam tam jeszcze paciuka. A mnie on na co? Sprzedam go i jakoś się tam polata.

I tak paciuk po paciuku, szkapka po szkapce, Goździkiewicz musiał w pół darmo zbywać swój dobytek i coraz był uboższy. A Sruł powtarzał hrabiemu, że on umyślnie w gotówkę się zaopatruje, aby mu kiedy przyszło łatwiej wynieść się cichaczem z Wyżyniec.

Aż nareszcie, korzystając z nieobecności brata, wypędził go zupełnie pan Ignacy, zabrawszy resztę bydelka pod pretekstem, że rachunki nie w porządku.

Rachunki rzeczywiście były słabą stroną Goździkiewicza i bywają nią zwykle u starych ekonomów, ale w tem tylko rozumieniu, że Goździkiewicz, jak i wszyscy jego przodkowie nie bardzo był piśmienny, a i to, co pisał, nie tego pisał. Ale niedbalstwa ani niesumienności zarzucić mu nie można było.

Nie będziemy opisywali rozpaczki biednego ekonomy, gdy musiał rozstawać się z Wyżyńcami. Znając charakter Goździkiewicza z naszego o nim opowiadania, łatwiej czytelnicy odgadną tę rozpacz, niżbyśmy jej obraz zdolali przedstawić. Rozpacz była tak wielka, że biedak w ciągu jednej nocy osiwił i postarzał się o lat kilka.

Najął chatę u starego Wasyla, którego znał od dawna i miał do niego słabość, za którą sam się nieraz gniewał.

— Trzeba być takim i owakim, aby żyć z jakimś dziadem, choć to niby królem go nazywają. Tfu! taki mi to król.

Ale jakże go nie miał lubić, kiedy stary dziad łączył się z jego najdawniejszymi pamiątkami; bo jeszcze ojciec jego opowiadał o nim i dziecinną wzbudzał ciekawość gadkami o ogromnej władzy ludzkiej i nadludzkiej króla dziadów.

— Ta i co! — dodawał. — Nikogo nie okradł, nie ocyganił, chociaż, jak ludzie mówią, miał żonę Cyganke.

i ta Olanka, wnuczka jego, a śliczna, dalibóg śliczna była, co to była mamką przy małym Genciu, wyglądała, jak Cyganka.

Stary też król dziadów miał najwięcej może sympatyj w całej okolicy do Goździkiewicza. Wszak obadwaj z tej samej pochodzili okolicy; a stary Wasyl może jeszcze dziada pana Jana pamiętał. Dosyć, że król dziadów z największą ochotą odstąpił Goździkiewiczowi chaty swojej, a ten chętnie przyjął to schronienie od Wasyla, o któreby kogo innego nie poprosił.

Zwłaszcza w Niżyńcach. Niżyniec nie cierpiał. Nie mógł im tego darować, że przestały być własnością Wyżyńskich.

— Te mieszczuchy! — mówił o mieszkańcach Niżyniec z wyrazem pogardy.

Kiedyśmy już podali charakterystykę Goździkiewicza, nie pozostaje nam nic więcej, jak opisać jeszcze jego powierzchowność, chociaż zdaje się nam, że czytelnik z tego, co dotąd o nim usłyszał, odgadł człowieka rosłego, barczystego, przez co wydaje się prawie dobrej tuszy, chociaż rzeczywiście prócz kości i żył nie wiele jest na nim zbytniego ciała. Włosy ma ogromnie gęste, wichrowate i z wielką trudnością dające się ułożyć; były niegdyś ciemne, dziś przyprusza je już siwizna, widoczna głównie koło skroni i na faworytach, które na jego szerokiej twarzy wyglądają jakby dwa ogromne krzaki, śniegiem posypane.

Rysy twarzy, prócz nosa nieco orlego i oczu z wyrazem pocziwym, wcale nieszczególne, nawet lubownicy i zwolennicy arystokratycznej fizynomiki mogliby je nazwać, i nie bez słuszności, pospolitymi, do czego się przyczyniała ogorzałość i nabrzmiałość twarzy—śla-

dy, które pozostawiło mu słońce i mrozy, którym podczas sprawowania swych ekonomskich obowiązków śmiało stawiał czoło.

Rozpisaliśmy się o nim zanaćdo może szeroko, ale zdało nam się, że może być ciekawy taki niknący już u nas bezpowrotnie typ, zupełnie rodzimy, w którym rzeczywiście więcej, niż myślimy, było charakteru naszego rodzimego. A potem opis jego charakteru, jego życia i pochodzenia, z dodatkiem nawet szlachectwa, może nas będzie mógł usprawiedliwić, że śmieliśmy piękłą jego córkę Hanię wynieść na rodzaj bohaterki. I rzeczywiście tylko w takim domu i otoczeniu i przy zbiegu takich okoliczności, które jeszcze wyjaśnimy w następnym rozdziale, mogło się wyrobić stworzenie tak łube, jakim ją zaraz przedstawimy i za jakie chcielibyśmy, by czytelnicy nasi ją uznali, choć pod tak skromną żyje strzechą.

IV.

H a n i a.

O piękności Hani już mówiliśmy, gdyśmy ją przez krótkich chwil parę ukazali czytelnikom naszym, stojącą na owej płycie kamiennej naprzeciw pasieki starego Wiciewicza. Rzeczywiście dziewczyna wyglądała, jak prawdziwy pączek róży napół rozkwitły, uroczy swą pierwszą barwą wiośnianą, której nie zniszczył żar letnich upałów, ubrylantowany, jeżeli się tak wolno wyrazić, dwoma perłami rosy rannej, jak bardzo słusznie nazwaćby można jej śliczne oczeta, patrzące na świat z czystością dwóch prawdziwych kropelek wody, której przejrzystości kryształowej nie jeszcze nie pokalało.

I to podobieństwo do pączka możnaby rozciągnąć do jej uczuć i myśli, które, nie rozwinięte jeszcze zupełnie, z różanemi skrzydełkami swych listków czekają na pierwszy gorętszy promień słońca. I od dni kilku pączek serca i pączek myśli Hani zaczyna się rozwijać. Gorętszym słońca promieniem stał się dla niej wzrok młodzieńca, którego gdy raz przypadkiem ujrzała, już więcej ślicznej jego twarzy zapomnieć nie mogła, i jakby pociągami magnetycznym wiedziona, przychodziła codziennie na to sa-

mo miejsce, by resztę dnia i nocy przemarzyć o ślicznym czarnookim młodzieńcu.

Hania, choć ekonomówna, nie była bez pewnego lepszego wychowania, które przypadkiem stało się jej udziałem. Przypadkiem wszystko nazywać lubimy, czego nie możemy sobie wytłómaczyć prostą drogą rozumowania, a tymczasem wielkie jest pytanie, czy ten przypadek nie ma wyższego znaczenia czasem, i czy nie jest wynikiem jakiej nieznanej nam logiki, wyższej od naszych rozumowań, które budujemy na geometrycznych prawie wywodach.

Ledwiebyśmy nie chcieli powiedzieć, że w tym właśnie razie przypadek tę wyższą odegrał rolę. Hanię przypadek lepszem obdarzył wychowaniem, bo już sama Hania była czemś wyjątkowem w tym świecie, w którym los kazał jej się obracać. Każdemu to się przecie trafiło, choć raz w życiu, iż, spotkawszy w tej lichej powłoce, którą człowiekiem nazywamy, coś wyższego, nie może pojąć, jak ta wyższość, ta iskra promienna, tam właśnie padła, gdzie ją znajdujemy. Nas to tem mniej dziwi i tem się naturalniejszem wydaje, że rzeczywiście trafiło się nam spotkać podobną Hanię w domu, gdzie była prawdziwie rzadkim meteorem i, jak meteor, prędko zgasła.

Nasza Hania również była dziwnie przez matkę przyrodę uposażona. W otoczeniu dworka ekonomskiego, pełnego prozy nudnej, codziennej, zaglądającej przez wszystkie okna dziedzińcowe, rosło dziecko pełne szczególnej poezji, które się Bóg wie skąd i Bóg wie jak samo wyrabiało, i rzucało na całą okoliczną prozę światło tak promienne, iż nawet najciemniejsi wokół przyznać to musieli. Małą Hanię nazywały dziewczki na folwarku i baby ze wsi aniołkiem. Posiadała ona urodę niepospolitą,

owianą urokiem, który, bijąc od niej, każdy najprostszy przedmiot podnosił w sposób, jakim się nań dziewczę zapatrywało i jakim się o nim wyrażało. Nieraz ojciec i matka zdumieni słuchali, jak małe dziecko, patrząc na najzwyczajniejsze zajęcie gospodarskie, umiało je podnieść i upoetyzować, czy to jakimś nazwiskiem, czy odwołaniem się do jego pożyteczności, czy najczęściej zwrotem do tej wszechmocnej łaski, z której spływa bez końca tyle dobrodziejstw na ziemię.

I rzeczywiście czyliż one nie padają żywym deszczem poezji? A my im prozą być, za prozę służyć każemy.

Ojciec i matka nie wiele się na tem rozumieli i niedalecy byli od tej myśli przesądnej, którą lud wyżyniecki zaczynał już rozpowiadać, że Pan Bóg zesłał tylko dla próby, na chwil kilka aniołka, który wnet zniknie. I kto wie, czyby to jakieś wyższe usposobienie dziewczęcia nie było utonęło wreszcie w prozie przeznaczenia biednej ekonomówny, gdyby nie przypadek, o którym zaraz mówić będziemy.

To jej usposobienie uwydatniało się najczęściej w blokiem jakimś zamyśleniu, z którego nagle wylatywały słowa, prawdziwe iskry ducha, niknące najczęściej niepostrzeżone. Nie lubiła się bawić, jak drugie dzieci, i jeżeli się bawiła, to sama jedna, a najmilej przeglądając obrazki w starej biblij, puściźnie po panu Tomaszu Goździńkiewiczu. Na nich wyrabiała sobie jasnowłosa dziewczynka najpoetyczniejsze wyobrażenia o tej biblijnej przeszłości, schodzącej do jej główki prosto z nieba, po prawdziwej drabince Jakóbowi we śnie objawionej, po drabince cudów na ziemię zesłanych.

Coraz więcej nabierała mała Hania upodobania do

długich i samotnych marzeń, napoly mglistych, poezya wyobraźni niewinnej tkanych, napoly pobożnych. I nieraz budziła się z tych marzeń dwoma łzami, które powoli z błękitnego, jak niebo, oka spływały na śliczną twarzyczkę.

— Czego płaczesz, Haniu? — pytała wtedy matka.

— Ja się modłę! — odpowiadała dziewczynka głosem, który słodyczą swoją i dźwiękiem był w zupełnej harmonii z całym jej niezwykle usposobieniem.

Ten jej stan, jakbyśmy się wyrazili, jasnego marzenia przechodził pomalu w rodzaj chorobliwości, która swą bladość roztaczała na przejrzystych dziecka licach, a oczy ćmiła mglistą powłoką.

— Ona musi umrzeć! — mówili rodzice po cichu do siebie i powracali do zatrudnień swoich.

Lecz przypadek zrzucił inaczej.

Zanim jednakże przystąpimy do opisanie tego przypadku, musimy jeszcze jeden epizod opowiedzieć z dziejów rodziny Goździkiewiczów.

Tomasz Goździkiewicz pomiędzy swemi licznymi dziećmi miał jedną córkę, Weronikę, która młodem dziewczęciem jeszcze zakrawała na wielką piękność. Kasztelanictwo polubili ją bardzo, to też Weronia ciągle prawie była we dworze, gdzie pomalu obok rozwijających się wdzięków niemałego nabrała wykształcenia, zaudto wielkiego nawet, jak na córkę prostego ekonoma. Pan Tomasz, zdrowym rozsądkiem obdarzony, gryzł się tem nieraz, najgorsze przewidując skutki.

Zjawila się tymczasem razu pewnego w Wyżynach pani generałowa, siostra samej kasztelanicej, pani z wielkiego świata i wielkiego majątku. Weronika podobala się jej bardzo, mianowicie z dowcipu i wesołości,

której w rzeczy samej miała bardzo wiele, a że generałowa była wdową i sama jedna, bo jednak syn na dalekich był wojażach, zapagnęła ją mieć przy sobie.

— Ta i lepiej! — powiedział pan Tomasz nie bez serdecznego westchnienia. — Ona i tak nie nadaje się już do naszej ubogiej chaty. Niech jedzie w świat.

I pojechała w świat z generałową nie bez bolesnego i pełnego łez pożegnania z rodzicami i rodzeństwem, gdyż Weronika miała bardzo dobre serce. Rzadkie o niej miano wiadomości w Wyżynach, bo niespokojnym duchem obdarzona generałowa jeździła ciągle, to do Warszawy, to do Petersburga, to za granicę. Później i te wiadomości ustały, przynajmniej nie musiały być bardzo wesołe, bo pan Tomasz, zapytany o córkę, marszczył czoło i uporczywie milczał. A jeżeli go pytania zanadto znudziły:

— Ona i tak dla nas umarła — odpowiadał i uciekał w pole, a zły jego humor robotnicy w polu odpokutować musieli.

Coś musiał wiedzieć i pan Jan, ale także niechętnie o Weronice gadał, chociaż wspominał ją zawsze w codziennym pacierzu i z rozrzewnieniem nieraz przed żoną mówił, że ją od dziecka z całego rodzeństwa najserdeczniej kochał.

Ludzi, którzy zawsze są ludźmi, wcale to milczenie nie zadowalało, a lubiąc, jak zwykle, każdą rzecz, bliźniego się tyczącą, zgruntować, rozmaite o jej losie robili przypuszczenia. A najwięcej rozpowszechniona była wieść, że Weronika nie była szczęśliwa, bo jakiś romans z człowiekiem wyższego stanu złamał jej życie. Nareszcie, jak to bywa zawsze, zapomniano o niej, jak o umarłej.

Po latach wielu pojawiła się nagle Weronika w domu brata. Jakie jej były losy, nikt z pewnością nie wiedział, prócz Jana zapewne, który serdecznie się spłakał przy powitaniu i przyjął siostrę z otwartymi rękoma. Czy była zamezną czy panną, jeszcze nikt nie wiedział i nie pytał nawet, bo ona dla wszystkich w okolicy była obcą prawie, a przytem już się wówczas nie najlepiej zaczęło powodzić panu Janowi, a tem samem nie zbyt obszerne były jego stosunki i przyjaźnie. Mówiono tylko czas jakiś, że ona musi mieć jakiś własny mająteczek, bo się zawsze porządnie, choć skromnie, ubierała.

Zmieniła się Weronika; były ślady dawnej piękności, ale dawna wesołość, trzpiotowata nawet nieraz, znikła zupełnie. Ale za to cała jej postawa i obejście się z ludźmi było pełne słodkiej i spokojnej powagi. Doświadczenie życia dało jej zapewne wiele cierni, ale nie zepsuło jej serca; przeciwnie, dodało jej wielkiego hartu, który przy widocznym wyższem wykształceniu zrobił z niej kobietę pełną prawdziwych zalet.

Przywiązała się odrazu do malej Hani, całą mocą serca wypróbowanego życiem, ale zawsze uczuć łaknącego. Poznawszy niezwykle usposobienie swej malej brataniki, poświęciła się zupełnie jej wychowaniu. Ani nauczycielki, ani uczeniicy usposobienie nie było tego rodzaju, aby to wychowanie mogło być przystosowane do stanu, w jakim się Hania urodziła. Doświadczeniem nauczona ciotka starała się tylko zbytnią egzaltację młodej dziewczyny sprowadzić na tor więcej odpowiedni prozie życia. Nie mogła zaś tego inaczej skutecznie, jak zajmując jej skłonny do marzeń umysł ciągle nauką, ciąglem kształceniem tych wyższych zdolności, jakimi ją przy-

roda obdarzyła. Jeżeli Weronika miała jakie własne fundusiki, obracała je na kupowanie książek, w których wyborze była nadzwyczaj ostrożna. Ale umysł Hani nie mógł się obejść zupełnie bez poezyi, to też, mając lat ledwie siedemnaście, знаła naszych poetów i mimo wszelkiego przeciwdziałania ciotki, mimo prozaicznego otoczenia, żyła w cudownym i tak dla serc młodych poetycznym ich świecie. Lecz ona tę poezję miała w sobie, ale, jak wiele innych na jej miejscu uczyniłoby, nie ubierała się w nią, jakby w szatę jaką, schlebającą próżności.

Hania, przy całym swoim wykształceniu, wyższem daleko nad stan, była nadzwyczaj skromna i ze zdumiewającym na jej wiek, napół instynktowym, napół przez ciotkę wyrobionym w niej taktem umiała się stosować do swojego, o tyle niższego od niej, otoczenia. Ciotka bowiem, dostrzegłszy u Hani mocno rozwinięte uczucie religijne, użyła go, aby w dziewczynie obudzić poczucie obowiązku, który w życiu górować powinien nad wszystkimi myślami najwznioślejszemi i uczuciami najpoważniejszymi.

Hania zrozumiała doskonale nauki ciotki, i prawdziwie rozrzewniający byłby dla myślącego człowieka widok, jak ta młoda, śliczna, pełna poezyi dziewczyna umiała tę swoją poetyczność stosować do koniecznej prozy, w jakiej żyć musiała; jak starała się poświęcać dla tej prozy, nie okazując po sobie, ile ją to poświęcenie kosztuje.

Z największą ochotą, gotowością i z wesołością nawet poddawała się ciężkiej pracy, jakiej wymagało jej położenie społeczne i rodzinne. Bo Hania w swojej młodej główce obowiązek umiała ubrać w szatę poezyi własnego serca.

— Bóg mnie tak postawił! a co robię, to robię dla moich drogich rodziców i dla lubego rodzeństwa.

Takie lub tym podobne były wówczas jej myśli, i każda robota szła jej w rękę prędzej, niż drugim, bo towarzyszyło jej poczucie obowiązku.

Ktoby ją widział zajęta przy gospodarstwie, nigdyby nie uwierzył, że to skromnie odziane dziewczę, skromną wykonywające robotę, miało śliczną główkę, pełną najwznościejszych myśli, a poczciwe serce, pełne uczuć najpoetyczniejszych. Czasem tylko, gdy młodym swym i dźwięcznym głosem zanuciła którą z piosenek wieszczów naszych, twarz jej i oczy nabierały wyrazu, właściwego wyższym istotom.

Rodziców i rodzeństwo kochała serdecznie i gotowa była poświęcić im każdą godzinę życia swego, ale ciotkę Weronię kochała namiętnie. Wolałaby umrzeć, niż zasłużyć na najmniejszy wyrzut cioteczki, jak ją nazywała.

Taka była nasza bohaterka. Było to dziewczę pełne uroku, i w twarzy i w oku, i w głowie i w sercu, w których drzemały wszystkie myśli i wszystkie uczucia, jakie Opatrzność daje ludziom wybranym, jakby chcąc im powetować raj utracony.

Lecz to wszystko było w zawiązku dopiero, w pączku pierwszej wiosny. Co się wywinie z pączka, to dopiero powie pierwszy dzień burzy letniej.

Czy wytrwa dziewczyna w tem swoim tak odrębnym, tak dziwnie harmonijnym usposobieniu, przyszłość pokaże. I niedaleka już ta przyszłość, bo od kilku dni serce jej bije gwałtowniej, błękitne oczy zalewają się łzami, których wstrzymać nie może i które nagle ustają przy półwestchnieniu i półśmiechu, z jakim patrzy przed

siebie na ten świat cały tak piękny, tak uroczy, jakim go jeszcze nigdy nie widziała, ani własnymi oczyma, ani oczyma swoich najulubieńszych poetów.

Ona zaczyna kochać! To pierwszy wiersz tego cudnego poematu pierwszej miłości, poematu, w którym śpiewają wszystkie najcudniejsze nuty uczuć, po którym rozlane są bogate barwy, raz tylko siłą młodej wyobraźni dobyte.

Ona już kocha! Sama nie wie o tem, sama nie pojmuję tego słodkiego niepokoju, który bez ustanku napelnia jej istotę, przechodząc od serca do głowy, od głowy do serca. Ona to tylko rozumie, że nic piękniejszego nie przeczuwała nad te czarne oczy młodzieńca, który choć nic jeszcze nie mówił, ale temi oczyma swemi to jej wypowiedział i to wyśpiewał, czego jej dotąd żaden wiersz nie powiedział, żadna piosnka nie zanuciła.

Przyzwyczajona nie tać przed ciotką, żadnego wrażenia, byłaby jej zapewne opowiedziała zaraz swoje szczególne spotkanie z temi oczyma, nieruchomie w nią patrzącami, ale ciotka była właśnie słaba. Biedna Weronika ostatni swój fundusik oddała, by ratować nędzę brata.

— Cóż teraz będzie z moją Hanią! — była to myśl jej codzienna.

A jak pierwszy raz nic nie powiedziała, już jej drugi raz ciężiej przychodziło zwierzyć się cioteczce—i z czem wreszcie?

A przecież po ostatniem widzeniu się z Eugeniuszem postanowiła opowiedzieć koniecznie wszystko; bo była chwila, w której uczuła jakby jakiś wyrzut wewnętrzny. Była to chwila, gdy się nagle na płycie kamiennej pojawił stary król dziadów. Zadrżała mimowolnie, i jeszcze się więcej przestraszyła, gdy po odejściu Eugeniusza

stary Wasyl, którego ona bardzo lubiła i w myśli swojej poetyzowała, zapytał ją tym głosem słodkim, który się czasem z ust starca dobywał:

— Haniu! czego ty drżysz?

Hania była ulubienicą starego Wasyla. Nieraz on wychodził z chaty swojej wieczorem i całymi godzinami słuchał śpiewu młodej dziewczyny. I nieraz czułe i poetyczne słowa pieśni wyciskały lzy ze ślepych oczu, jakby rozumiał te słowa. Bo brak wykształcenia zastępowało starem żebakowi wieloletnie doświadczenie życiowe i długa, marzeniu oddana, samotność. Bóg dobry wlał poezję w każdą pierś człowieczą, a wieszczom dał władzę, by jednym uroczym słowem uderzali w tę strunę poetyczną do wtóru swej pieśni.

— Sama jesteś? — dodał po chwili stary Wasyl, nieruchome wlepiając oczy w zarumienioną dziewczynę.

— Może on go widział? — pomyślała dziewczyna, która w tej chwili przypomniła sobie to wszystko, co lud prosty opowiadał o cudownym darze króla dziadów, darze widzenia wszystkiego mimo ślepych oczu. A któż skłonniejszy do wiary w cudowność od istot, obdarzonych poetycznym usposobieniem?

Nic nie odpowiedziała starem Wasylowi, ale, wracając do domu, mimowolnie pytała sama siebie, posłuszna zaleceniu ciotki, by w każdej, milej czy przykrej, życia chwili surowo się zawsze badała:

— Miałoby to być co złego?

I szybszym krokiem pobiegła do ciotki. Ale ta leżała w łóżku.

— Jutro powiem cioteczce! — rzekła sobie w najlepszej wierze.

A nazajutrz ciotka była jeszcze słabsza, a gdy przy-

szła ta godzina wczorajsza, pozawczorajsza, którą wybiło jej serce, pobiegła na płytę. Lecz nikogo nie zastała. Eugeniusz, jak wiemy, tego dnia pojechał do Nizyniec.

Natomiast zobaczyła śpieszącego na broniaku pana aktuaryusza, którego nie cierpiała, bo już kilka razy zbliżał się do niej, i takie jej nudne i niezrozumiałe prawił rzeczy, że aż zapytała siebie w duchu:

— Czy szalony, czy co?... Ależ nudny!...

Uciekła co prędzej z płyty. Aż tu znowu na ścieżce spotkała Iwana. Zadrżała dziewczyna, bo, nie wiedząc dlaczego, bała się go; nawet do niego, jakkolwiek wiemy, że Iwan był bardzo przystojny, czuła jakąś szczególną odrazę, podobną do tej, jaką się czuje czasem do jakiejś potwornej postaci lub obrzydliwego plazu. Nie umiała sobie zdać z tego sprawy, ale mimowolnie oczy Iwana przywodziły jej do głowy, przez jakieś dziwne zespolenie myśli, obraz ognia piekielnego, który płonie wiecznie w oczach potępionych. Nie śmiała sama przed sobą przyznać, że na widok Iwana budziło się w jej sercu coś nakształt nienawiści.

— Może to przecucie? — zadrżało czasem w jej sercu.

Nie miała wszakże na pozór żadnej przyczyny do takich względem Iwana uczuć, bo on nigdy jej przystojnego nie powiedział słowa, przeciwnie, robił, co mógł, by się jej przypodobać. Jakkolwiek sławny z lenistwa, zadał sobie raz pracę, by uwić dla niej z łoziny koszyk, wcale zgrabny, na którym wyrobiona była jej cyfra; Iwan bowiem miał pewne pojęcie o alfabecie, dzięki starem bazylianowi, który bardzo lubił Wasyla. A wiele razy ją spotkał, zawsze się jej kłaniał, spoglądając na

nią jak mógł najczulej, i najpiękniejsze, jakie umiał, śpiewał jej piosenki głosem, któryby w innych warunkach mógł przynieść mu sławę i majątek. Nic to nie pomagało: Hania uciekała zawsze od niego. Ale nie była to z jej strony pogarda, bo Hania dla starego Wasyła miała nawet rodzaj uszanowania i z najuboższym chłopkiem rozmawiała najuprzejmiej.

I tym razem, spotkawszy Iwana i oddawszy mu ukłon, przyspieszyła kroku.

— Panna Hania ucieka przede mną? — wyrzekł Iwan, a oczy jego zaiskrzyły się zapalczywie.

— Śpieszę do cioteczki — odrzekła niepewnym głosem.

— Panna Hania pogardza mną?... A jak ja zechcę, to przestanę być prostym chłopem. Mój dziadek...

— Cioteczka słaba — przerwała Hania.

— Wiem! wiem ja! — przemówił znowu Iwan, a w jego głosie i oczach odbił się wyraz złowrogiej namiętności. — Nie było nikogo w pasiece! — mówił dalej—ha! ha! Iwan jak kocha, to kocha, ale kogo nie nawidzi, tego i pan Bóg nie obroni.

Hania ledwie dosłyszała te słowa, których raczej ton złowieszczy, niż znaczenie, dla niej niezrozumiałe, dodał jej skrzydeł.

— Nie było go! nie było dzisiaj! — dzwoniło jej ciągle w uszach, ból ścisnął serce. — I na cóż tu gadać przed ciotką? On pewno nie wróci!...

— Nie wróci! — powtórzyło echo w jej duszy.

Smutny to był dzień dla Hani; takiego nie pamiętała nigdy.

A przecież nazajutrz podążyła znowu na płytę. Tęskne oczy pobiegły ku pasiece. Niema nikogo. Już wię-

cej nic widzieć nie mogła, bo dwie ogromne łyży zaćmiły wzrok biednej dziewczyny.

Wtem coś zaszeleściło koło niej. Już chciała uciekać, bo zdało się jej, że w zbliżającym się do niej poznaje Iwana. Ale nie, to nie Iwan, to jakiś góral. Ten sam góral, którego widzieliśmy w chacie króla dziadów, ale bez przepaski na oku. Stał przed nią i wpatruje się dwoma zdrowymi, czarnymi jak węgiel i jak węgiel żarzący palącemi oczyma.

Dziewczyna stanęła, jak wryta. Patrzy i patrzy, i coraz widomiej, coraz silniej występuje jej na twarz rumieniec tak krasny, jak zorza na niebie.

— To ten piękny młodzieniec z pasieki! — zaśpiewało jej w bijącej piersi. Ale słowa przemówić nie śmiała.

— Haniu! — przemówił góral słowem, spojrzeniem i westchnieniem, a tak mile, tak jakoś czarownie, że dziewczynie ledwie serce z piersi nie wyskoczyło do pięknego młodzieńca. Ale nawet jednego słowa przemówić już teraz nie mogła.

— Haniu! — powtórzył góral, jeszcze słodziej, jeszcze czarownie.

Biedna dziewczyna nie odpowiedzieć nie umiała, ale sama o tem nie wiedziała, jak jej ręka pobiegła ku piersi, by przytrzymać serce, które wydzierało jej się stamtąd.

Biedna dziewczyno! ni ręką, ni silniejszą od niej wolą nie przytrzymasz już uciekającego serca.

— Nie poznałaś mnie, Haniu? — pytał znowu młody góral, a głos jego miał dla niej harmonię najpiękniejszej z jej pieśni ulubionych.

Dziewczyna zaczęła się wstydzić własnego mil-

czenia. Ale cóż na to robić, kiedy tak pełno myśli w głowie, a takie mnóstwo uczuć w sercu, że poza uczuciami żadne dobrać się nie może słówko. Ale oczy Hani same z własnej woli odbiegły od młodzieńca i zatrzymały się tam za potokiem, czy owem drzewem w pasiece. Zdradzieckie oczy!...

— Poznałaś mnie, Haniu! — zawołał góral radośnie i porwał ją za rękę.

Hania ręki wziąć nie bronila, bo jej ręka wraz z sercem wydzierala się ku pięknemu młodzieńcowi. Ścisnęła serdecznie, oddając serdeczny uścisk. Jakże postąpić inaczej, kiedy on tak patrzył, że ją wzrokiem swoim całą ogarnął i porwał w świat cudów i uroku, świat marzeń i ułudy, świat nadziei i szczęścia!...

— Słuchaj, Haniu! — rzekł znowu młodzieniec.

O, gdyby całe życie słuchać takich słów!

— Haniu, chodźmy! — mówił dalej młody góral.

I poszli oboje po ścieżce pomiędzy skały i drzewa, ponad szumiącym potokiem, wzdłuż zielonej łączki, poprzez krzaki i kwiaty. Szli długo milcząc. Piękność okolicy, urokiem wiosny ubarwionej, mówiła za nich tymi wszystkimi głosami ptaków i kwiatów, nieba i ziemi, które wszystkie mówią do młodych uczuć w wiosnie życia:—Kochajcie się!...

— Ja cię kocham, moja Haniu! — przemówił wreszcie młodzieniec.

— Kocham! — odpowiedziała Hania, bo inaczej odpowiedzieć w tej chwili nie mogła, bo innego słowa ani z głowy, ani z serca dobrać nie potrafiła.

Te dwa słowa, przez młodych ludzi wymówione, rozpełtały milczenie. Stały się onym talizmanem ze starej baj-



-- Haniu! — przemówił góral.

ki, za którego dotknięciem rozwarły się potężne wrota wiodące do zaczarowanego ogrodu.

I dwoje dawno znanych szło dalej ręką w rękę i zaczęła się między nimi rozmowa swobodna, w którą wlewali oboje bogactwo swych myśli i uczuć.

Młody góral opowiadał jej całą przeszłość swoją. Nie mówił jej o swoich czynach, bo i cóż w tak młodym wieku mógł dotąd zdziałać, ani o swoim urodzeniu, wszakże Hani nie przyszło nawet na myśl zdziwić się, o tem mniej zapytać, dlaczego dzisiaj w innym przed nią stanął stroju. On jej opowiadał o wszystkich swoich marzeniach młodzieńczych, o tem, co tylko kiedy przedumał, przeczuł, do czego zwracał swe pierwsze westchnienia i pierwszą nadzieję.

I wszystko się ziściło, wszystko, gdy ujrzał Hanię.

Dziwna rzecz! gdy Hania zaczęła z kolei opowiadać, pokazało się, że i ona to samo, co on, przedumała, przeczuwała w zorzy rannej, w mgle wieczornej, w pieśni swych piewców najmilszych, w wierszu swych wieszczów najulubieńszych. I wszystko się ziściło, wszystko, gdy ujrzała młodzieńca.

Jakież szczęście napełniło serce tych dwojga młodych, tak podobnych do siebie nastrojem poetycznym, wykształceniem i zapalem! Co chwila, to jakaś im nuta przychodziła do ust z całym bogactwem swego uczuć tonu, to znowu wiersz znany, przy którym serca ich były pierw w oddaleniu, a teraz biją zbliżone wzrokiem obojga, który i to im jeszcze wypowiedział, czego słowa nie potrafiły.

Lecz dosyć tego opisu, który, choćby go najżywszemi kreślić barwami, będzie zawsze tylko cieniem, a raczej echem, coraz ciszej brzmiącym, w miarę oddalania się głosu, który je wywołał.

Łatwo pojąć, że przy usposobieniach obojga, tak podobnych do siebie, wzajemnie ich uczucia, w tak rzadkiej rozwijające się harmonii i głowy i serca, wzmagaly się z każdą chwilą i w końcu doszły do takiej mocy, do jakiej w innych stosunkach po dłuższej ledwie dojść mogą znajomości.

Oboje gotowi byli wszystko dla siebie poświęcić.

„Kocham cię nad życie!“ Ten frazes, tyle razy profanowany, był w tej chwili najczystsza prawdą ich ust i serc. Czemuż, o czemuż taka chwila długo trwać nie może? Czemu tej prawdzie uraga świat i jego proza?

I nasza młoda para miałażby doznać tego smutnego rozczarowania?...

Upływały chwile, upływały godziny, a młodzi kochankowie nie mogli się dosyć nasycić tą rozmową, w której każde słowo jest tylko tłem do najpiękniejszych obrazów... Mglistych obrazów! powiada zimna rzeczywistość.

Na ich szczęście był to dzień, jak wiemy, świąteczny. Nikt im nie przeszkadzał, i nieobecność Hani w chacie rodzicielskiej przeszła niepostrzeżona.

Wtem wydało się dziewczynie, że słyszy jakiś głos, wołający ją po imieniu.

— To mój mały braciszek woła mnie! — rzekła, budząc się jakby z lubego snu. — Muszę wracać do domu! — dodała z westchnieniem i spojrzeniem, które dopowiedziały młodemu góralowi, czego mu wstydlive usta powiedzieć nie mogły.

I z wolna wracali obok łąki zielonej, wzdłuż szumiącego strumyka, pomiędzy krzakami i kwiatami; wracali tą samą ścieżką, po której oboje rozrzucili z skarbca swych młodych serc tyle myśli, uczuć i słów gorących.

Już byli niedaleko znajomej sobie płyty.

— Przyjdź tu jutro — rzekł do niej rozmarzony młodzieniec.

— Jutro! — odrzekła dziewczyna. I mimowolnie przykre jakieś uczucie ścisnęło jej serce.

Złowrogie to słowo to „jutro“, budzące w człowieku tysiące myśli wątpliwych.

U Hani obudziła się rozwaga, uśpiona dotąd nawalem uczuć, rozwaga, którą młoda dziewczyna od dziecka posiadała. Stała na chwilę, jakby w zamyśleniu.

— Jutro przyjdiesz do nas? nieprawdaz? — rzekła do niego.

Młodzieniec milczał. Dlaczego, sam nie wiedział. Bo czyliż on dotąd zastanowił się nad sobą i swoim położeniem?

— Przyjdiesz do naszej chatki i... powiesz moim rodzicom i mojej cioteczce... powiesz...

Tu sama nie wiedziała, jak ma dokończyć. Po chwili:

— Gdzie twoja chata, mój miły? — dodała i nagle zbladła.

Trudno wytrwać na drodze rozwagi. W tej chwili spojrzała na jego ubiór góralski i dopiero sobie przypomniała tę zmianę jego stroju. Chciała spytać, lecz nie śmiała.

— Co tobie, Haniu? — zapytał młodzieniec, widząc nagłą zmianę w jej twarzy.

— Ja chciałam...

— Co?

Długo trwało, zanim półsłówkami zdołała przed nim wytlómaczyć myśl swoją.

Zarumienił się młodzieniec, bo w tej dopiero chwili uczuł nierozwagę swoją. I znowu jej powtórzył, jak ją na przechadzce raz zobaczył, jak, zobaczywszy, pokochał i przysiągł sobie, że ją do śmierci kochać będzie. I dalej opowiadał wymownemi słowy, że już dawno jest znudzony tem życiem nieznośnie obłudnem i prozaicznem, jakie pędzić musi w otoczeniu swoim towarzyskiem; że tam nic nie przemawia do jego serca, które już od dawna tęskni za życiem wolnem, któreby odpowiedzieć mogło jego wyobrażeniom i pragnieniom, pełnym wyższej, ołowianymi kajdanami rzeczywistości nie obciążonej poezji; że, nareszcie teraz znalazłszy ją, nie chce już wrócić w to życie przymusu.

— Starczy nam zawsze na chatkę tam w górach, w naszych pięknych Karpatach, tam, gdzie i powietrze i ludzie są swobodniejsi!

Hania słuchała go z uwagą i z zajęciem, bo wszystko, co mówił, trafiało jej do serca i do przekonania. Ale nadaremnie serce jej upajało się wymową i wdziękiem mowy kochanka: rozwaga jej była już rozbudzona.

— Ale rodzice twoi, mój luby?...

— Rodzice moi! — powtórzył młodzieniec, sam zdziwiony, że to słowo tak mało w nim budzi uczucia.

— Jakże się zowią? — dodała z trwogą, z której drżała mimowolnie. — Jak się zowiesz, mój luby? — zmieniła pytanie, przerażona jego milczeniem.

— Eugeniusz.

— Eugeniusz Wyżyński! — krzyknęła Hania i pobladła okropnie.

Biedna dziewczyno! chciałaś rozwagi, masz rzeczywistość.

Eugeniusz z nowym a szczerym zapalem powtarzał Hani swoje romantyczne zamiary i przysięgi wiecznej miłości.

Hania, drżąca jak listek burzą miotany, stała przed nim z oczyma w dół spuszczone, niema i blada.

Młodzieniec tłómaczył swoje przebranie tem także, że, wiedząc o natręctwie młodego aktuaryusza z Niżyniec, chciał pod tem przebraniem być bliżej niej, by w każdym niebezpieczeństwie stanąć w jej obronie.

Hania podziękowała mu czulem spojrzeniem, którem również powtórzyła mu, że go kocha całym sercem, całą duszą, ale nie rzekła ani słowa.

— Chcesz, Haniu, bym przyszedł do twoich rodziców. Pójdę zaraz, padnę im do nóg i powiem, że albo żyć nie będę, albo będę ich synem. Haniu, ja bez ciebie umrę!...

— Nie, mój luby! Nie przychodź!... Ja jutro przyjdę tu sama — wyrzekła nareszcie, ale głos jej był bardzo drżący.

— Przyjdiesz? — pytał Eugeniusz, patrząc z przestachem w jej twarz pomieszana.

— Przyjdę — odrzekła raz jeszcze i z największym wysiłkiem odwróciła się, chcąc odejść.

— Haniu!... co tobie?... powiedz, że mnie kochasz i do śmierci kochać będziesz.

— Kocham! kocham! — odpowiedziała dziewczyna. — Kocham do śmierci! — powtórzyła, uciekając ku chatce. — Do śmierci! — rzekła raz jeszcze w oddaleniu, a w jej głosie były łzy.

Pierwsze to łzy serdecznej rozpacz, które spłynęły z oczu Hani. Resztę dnia przepędziła przytulona do kolan kochanej cioteczki, której wszystko powiedziała, co tylko miała na sercu.

Eugeniusz długo stał i patrzył ciągle za Hanią, choć mu już dawno z oczu znikła. Tak go zastał Semen, który z dziwnem patrzył na niego współczuciem.

V.

Rzut oka w przeszłość.

Wieczorem dnia tego siedział Eugeniusz niedaleko chaty króla dziadów. Oparty o skałę patrzył przed siebie okiem roztargnionem. Spoglądał w przepaść tuż pod nożem swemi, i dziwny wyraz smutku odbijał się na pięknej jego twarzy. Słońce zachodzące ostatnimi promieniami ozlacało szumiący w dole potok, wierzchołki drzew i wynurzający się z nich krzyż cerkiewny, który wyglądał tak, jakby płonął w ogniu. Wieczór, jak w lecie, cudownie był piękny, ale młodzieniec nie zwracał uwagi ani na piękności okolicy, ani na ten urok letniego wieczora.

Niedaleko od niego stał o stary pniak oparty Semen i z niezwykłym zajęciem przypatrywał się młodzieńcowi.

Już przed chwilą przyszedł, niepostrzeżony przez młodego hrabiego, i kilka razy ruszał się z miejsca swego, jakby chciał zbudzić młodzieńca, którego smutne zadumanie napępiało go niepokojem.

Snać już dłużej nie mógł wytrzymać, ozwał się bowiem pierwszy:

— Czego wy tak smutni, paniczku?...

— Smutny? — powtórzył Eugeniusz jakby ze snu zbudzony.

— Wszakże was panna Hania kocha.

— Ona mnie kocha, mówisz?... A przecież ja tu, w piersi mej czuję, że niema dla mnie szczęścia.

— Nie mówcie tego, paniczu, by się Bóg nie rozgniewał. Czegoż wam brakuje?

— Ty tego nie rozumiesz...

— Prawda, że nie rozumiem, ale Semenowi przykro, bardzo przykro.

— I ja sam nie zawsze siebie rozumiem — rzekł Eugeniusz ciszej, jakby do siebie. — Tam przenieść się chciałbym, tam, gdzie te sine obłoki ponad górami zawisły, precz od tej nudnej, codziennej prozy, precz od ludzi zimnych... Ale Hania!... Hania czy zechce?... Nie! nie!...

— Ale, paniczu! Hania zrobi, co tylko zechcecie, i pójdziecie, paniczu, w świat, dokąd zechcecie! A Semen do śmierci wam służyć będzie, jak wierny pies.

— Ty, Semen?

— O, bo Semen dałby się zabić za was! Semen was takim chłopaczkiem pamięta.

— Pamiętasz mnie? — mówił Eugeniusz dalej, patrząc zdumiony na rozrzewnienie żebraka.

Nie od dzisiaj już to uważał, że stary Semen z dziwnem na jego położenie i wychowanie był dlań przywiązaniem. Od czasu, jak wrócił ze stolicy do domu rodzicielskiego, spotykał go wszędzie i na każdym prawie kroku widział dowody szczególnej jego życzliwości. On to go pierwszy jakby naumyślnie sprowadził do pasieki, gdzie po raz pierwszy ujrzał Hanię. On go przestrzegł o częstem przyjeżdżaniu młodego aktuaryusza z miaste-

czka i pierwszy wzbudził myśl zbliżenia się do dziewczyny i pilnowania jej pod przebraniem, któreby możliwym zrobiło pobyt jego pomiędzy chatami wieśniaczemi, bez wzbudzenia podejrzeń. On nareszcie więcej jeszcze podsycił ducha jego niespokojnego swemi opowiadaniem o królu dziadów i o cudnych okolicach i dziwach karpackich, które znał doskonale. Dosyć, że i Eugeniusz czuł jakiś mimowolny pociąg do starego żebraka, który sobie tłómaczył wdzięcznością za okazywaną mu przychylność. Uczucie to zresztą dla tyle niższego od siebie człowieka godziło się zupełnie z usposobieniem Eugeniusza, który, jak to już mówiliśmy, w niczem nie stosował się do swojego otoczenia i do położenia społecznego, w jakim się urodził, ale natomiast szczególną miał skłonność do wszystkiego, co tchnęło romantycznością lub awanturniczością.

— Pytacie się, paniczu, czy pamiętam? Ile to ja razy nosilem was na rękach, gdy wyszła z wami na rękę na przechadzkę wasza mamka.

— Moja mamka! — zawołał Eugeniusz.

— Pamiętacie ją, paniczu? — zapytał Semen, i lzy zakręciły mu się w oczach.

— Pamiętam jakby przez sen czarne jej oczy, zawieszzone nade mną, jakby dwie gwiazdy. Ty ją znałeś?

— Oj, znałem, paniczu...

— I już dawno nie żyje zapewne; bo nagle mi znikła, i tylko pamięć jej oczu została.

— Nie żyje! dawno już nie żyje. Ja już miałem czas postarzeć się, a młodym byłem jeszcze człowiekiem, kiedy umarła. Śliczne, paniczu, miała oczy, jak wasze.

— Opowiedz mi o niej.

— To wy kochacie ją, paniczu? Dobrze robicie, bo ona was bardzo kochała.

— Kochała mnie? Ja sobie dziś jeszcze przypominam czule jej pieszczoty. Aż mi nieraz serce zadrży tęsknotą za nią.

— Dobry paniczu! — zawołał Semen namiętnie i pocałował Eugeniusza z zapalem w rękę.

— Słuchaj, paniczu! — mówił dalej. — Stary nasz król miał czterech synów i cztery córki, i piękny to był ród jego, chociaż ludzie mówili, że w nich wszystkich płynie krew cygańska, bo stary Wasyl, gdy jeszcze był młodym chłopcem, poszedł raz o zebranych kiju aż do Dorny, gdzieś tam niedaleko ku ziemi węgierskiej. I tam gdzieś spotkał bandę cygańską, która szła do nas przez góry aż z węgierszczyzny. I była między nimi dziewczyna bardzo młoda jeszcze, tak dziwnie piękna, że ludzie, co ją znali, mówili, że w jej piękności jakies były cudowne uroki, i bodaj czy ludzkie tylko. Wasyl ładny był także, a ojciec jego, który był królem dziadów przed nim, radby go był z najbogatszą ożenił. Ale darmo człowiek naprzód sobie układa; Bóg tymczasem inaczej rozporządzi, i tak się stanie, jak On zechce. Otóż i tu się tak stało. Wasyl zakochał się w cygańskiej dziewczynie i długo nie wracał do swojej zagrody, bo się tam gdzieś waleśał razem z Cyganami. Aż nagle przyszedł razem z nimi, i tu rozstasowali się, w tym lasku, niedaleko owej płyty kamiennej. Daremnie ojciec Wasyla płakał, zaklinał i gniewał się. Wasyl się uparł i cygańska dziewczyna została jego żoną. Nie długo on się patrzył na uroczą twarz swojej żony, bo jakoś w miesiąc po ślubie zaniemógł stary król dziadów, a nim umarł, już Wasyl był ślepy.

— Jakto! nagle oślepl?

— Bóg to tam wie, jak to idzie między nimi, ale dosyć, że każdy z nich, nim zostanie królem, musi być ślepy.

— To okropne!

— Cóż robić, paniczu! Już to taki zwyczaj! Cyganka, jak tylko weszła do chaty mężowskiej, straciła i dawne zdrowie i dawną weselość. Widać jej mieszkanie chrześcijańskie na dobre nie wyszło. Oczyma tylko świeciła, jak próchnem w nocy, a ludzie mówili, że, gdzie spojrziała, to tam wszystko próchnem się stawało. I tak czterech mieli synów i cztery córki. Chłopcy, słysząc, wdali się w ojca, a córki w matkę; wszystkie takie były śniade, jak matka, i wszystkich oczy paliły, jakby ogniem. Ale nie było błogosławieństwa Bożego nad tem małżeństwem i nad ich dziećmi. Chłopcy różnymi strasznymi sposobami poginęli: jeden utonął w płonie, gdy zimą poszedł na ryby, drugiego gałąź do ziemi przybiła, inny zginął na polowaniu, a ostatni gdzieś poszedł na wojaczkę i już więcej nie wrócił. A i córkom zmarło się wcześniej, kiedy były jeszcze dziewczkami. Została tylko najmłodsza i najładniejsza, którą powinien ksiądz od ojców bazylianów jakoś szczęśliwie błogosławieństwem swoim świątobliwem zbawił. Ksenia poszła za męża, ale za obcego, który się tu aż z Krakowa przywaleśał i z nią ożenił. Tymczasem i matka Cyganka umarła i dzieci Kseni powymierały, choć ich wiele było, i tylko Wasylowi jedna po niej została wnuczka. To była Olanka, wasza mamka. Ej, ślicznota to była, mój paniczu! Kto na nią raz spojrzzał, to już i odpatrzeć się nie mógł, i same oczy biegły za nią, gdy szła do cerkwi, lub gdy stanęła do koła

w karczmie przy niedzielnej muzyce. A za oczyma i wszystkie, panie, serca biegły za piękną Olanką. Ale napróżno, bo Olanka dumna była dziewczyna i nawet na tutejszych patrzeć nie chciała. Ona, bywało, najmilej biegła sama jedna po lasku, i temi swemi oczyma patrzy ciągle daleko przed sobą, tam gdzieś w góry i mgły, jakby ją tam polecieć koczyło, jakby jej stamtąd co przybyć miało. A był tu wtenczas młody jeszcze chłop, któremu król dziadów był wujkiem i który miał tu nie daleko kawał pięknego gruntu. Ów młody chłop porzucił i grunt, i chatę, i całe gospodarstwo swoje, a miał przecie i swoje woliki i krówki, i inny dobytek. Wszystko porzucił i został dziadem, zebrakiem, aby być bliżej pięknej Olanki. Ot głupi to był chłop, kiedy myślał, że serce dziewczyny można wysłużyć, jak siermięgę lub kożuch. Dziewczyna była dobra dla niego, jak prawdziwa krewna, jakby siostra, uśmiechała się do niego słodko, bo już to serce u niej to lepsze od złota było, i ona chodziła, szebiełowała z nim, jego piosnkom wtórowała głosem, którym jak zaśpiewała, to nie tylko nogi, ale i serca nawet skakać zaczynały. Ale kochać go nie mogła, bo myśl jej biegła daleko poza lasy, poza góry, poza obłoki. I co chciała, wypatrzyła przecie. Pojawił się u nas jakiś niby Węgier, choć mu taki Cygan patrzył z oka. Ładny był to chłopiec i sprytny do wszystkiego, niema co mówić. To też Olanka, jak go zobaczyła, utonęła w nim bez pamięci, i już nie patrzyła ani na góry, ani w obłoki, ale w oczy przybysza, takie czarne, jak jej własne, i takie ogniste także. Darmo jej krewniak schnął i mizerniał z miłości: ona z swoim Węgrem rady sobie dać nie mogła. Krewniaka żałowała, ale powtarzała mu zawsze:

— Kiedy ja jego tylko kocham i do śmierci kochać będę.

Krewniak westchnął tylko i już się jej więcej nie naprzykrzał, chociaż Wasyl chciał koniecznie, by został mężem ukochanej wnuczki, i nawet sam wstawiał się za Olanką i Węgrem, ale nadaremnie, bo Wasyl ani chciał słyszeć o tem.

— Dostyc już tej krwi cygańskiej między mojemi — mówił, a Węgry czy Cygana przeklinał i wyganiał z domu.

Tak się też stało, że ten przybłęda, jak przyszedł raz jednego, tak i zniknął bez wieści. Co się działo z biedną Olanką, to strach powiedzieć! Ledwie nie wypłakała tych swoich czarnych oczu za niewdzięcznym, co ją porzucił. Cóż było robić? Krewniak nie mógł patrzeć na rozpacz Olanki i poszedł w świat, i póty chodził, póty szukał, aż znalazł go przecie aż koło Kęt przy kuźni, bo Węgier, jak prawdziwy Cygan, był doskonałym kowalem. Dobrze mu się tam działo i nie chciał wracać do Olanki.

— Niech o mnie zapomni! — mówił do krewniaka Olanki — bo i tak dziadek jej nie pozwala, żebym ja był jej mężem. Na cóż ona ma sobie i mnie świat zawiązywać?

Wszystkie prośby i groźby nie nie pomagały. Kował został przy kuźni, a krewniak Olanki poszedł z niczem do domu. Lecz jak tylko Olanka dowiedziała się, gdzie jej luby mieszka, nie powiedziawszy nic nikomu, znikła z domu. Dobrze to mówią, że kobieta za kochankiem to i za morze pójdzie. Jak poszła, rok cały ani słyhu o niej było. Stary Wasyl płakał za donią, jak dziecko; gdyby nie był ślepy, byłby oczy drugi raz wypłakał.

A krewniak nie mu nie śmiał mówić, choć się domyślał dobrze, gdzie się dziewczyna podziała, bo i na cóż staremu dodawać zgryzoty? i sam miał po prawdzie na sumieniu, że dziewczynie powiedział o mieszkaniu kochanka. Sam także nie śmiał jej poszukać w jej nowem przy kochanku mieszkaniu, bo i jakież miał do tego prawo? A pewny był, że nieszczęśliwa biednej kobiety musi być dola przy Cyganie, który, choć miał twarz piękną, jak na obrazach świętych malują, ale serce u niego było takie, że i czarby się go nie powstydzil.

Eugeniusz słuchał z wielkiem zajęciem prostego opowiadania tego, które dla tej właśnie przyczyny największe sprawiało wrażenie na jego umyśle młodym, niezsutym i czulem sercu. I było coś w tem opowiadaniu, co mocniej poruszyło w nim uczucie, dlatego może, że się tyczyło mamki, której pamięć coraz silniej odzywa się w nim i nie wiedzieć dlaczego napelnia jego serce jakąś tęsknotą niepojętą, jakimś żalem serdecznym.

— Po roku — ciągnął dalej Semen opowiadanie swoje — a było to jakoś w późnej jesieni, koło dnia zadusznego, deszczyk kropił drobny, i coraz więcej robiło się błoto na drogach, pokrywając je kałużami. Wiatr jesienny szumiał smutno po naszym lesie, podnosząc całe chmury liścia suchego, szeleszczącego na ścieżkach i w parowach gajowych.

Smutny to był dzień, i nigdy takim jakimś przykrym głosem nie krakały wrony, jak tego dnia. Krewny starego króla, mimo słoty wielkiej, szedł na zwykłe swe miejsce, pod figurę Pana Jezusa, koło pasieki, bo od czasu jak został żebrakiem, tam on najczęściej przesiadywał. Stamtąd on dawniej widział nieraz, jak Olanka, na kamiennej stanąwszy płycie, tęsknemi w świat pa-

trzyła oczyma. Tym razem tak mu jakoś było i nudno i ciężko na sercu, że rady sobie dać nie mógł i do pieśni nabożnej, którą śpiewał po cichu, dodawał i ciężkie westchnienia, i łzy nawet. Tak przyszedł pod samą figurę, gdzie leżał już ten kamień, aż do dzisiaj stojący, gdy nagle ujrzał przed sobą siedzącą na nim kobietę. Skulona, zmoczona deszczem, w ubogiem odzieniu, połatana wetera starala się osłonić małe dziecko. Czy pojmujecie, panie, jakie było zdziwienie jego, gdy w tej biednej kobiecie poznał Olanke, tę najmilszą kochankę swą, wnuczkę króla dziadów? I prawdziwie on ją sercem tylko poznał, które nagle uderzyło w jego piersiach. O! bo oczyma trudno było poznać tę bladą, zmizerowaną postać, pochyloną przez słabość i nędzę, która była tak piękna, że i najpiękniejsze panie musiałyby jej ustąpić. Oczy jej tylko czarne błyszczały, ale już więcej łzami, niż ogniem wewnętrznym. Czasem tylko, gdy spojrzała na małego robaczka przy piersiach, spróbowała uśmiechnąć się do niego, by mu przecie nie zabrakło tego dzieciom tak potrzebnego uśmiechu matczynego; ale aż przykro było patrzeć na ten uśmiech, który tylko marszczył wychudzoną i wyżółkłą na twarzy skórę.

— Splakali się oboje serdecznie — mówił dalej Semen głosem coraz bardziej miękkiem. — On jej żadnych nie robił wymówek, ani też ją pytał o nic. Ona mu tylko pokazała to dziecko. Śliczny to był robaczek! jak aniołek najpiękniejszy w naszym wielkim ołtarzu. Oczy miał matczyne, takie śliczne, takie czarne, a takie rozumne. Panie! — dodał żebrak z wybuchem namiętnego wzruszenia — on miał oczy tak piękne, jak wasze!

— Pocziwy Semen! — wyrzekł Eugeniusz mimowolnie, widząc serdeczne wzruszenie żebraka. — Mów

dalej! twoje opowiadanie obchodzi mnie sto razy więcej, niż niejedna z naszych powieści zmyślonych.

— Nie długo już mam opowiadać — mówił znowu Semen, ścierając obdartym rękawem łzę z oka. — Ona prosiła tylko, aby dziadka mogła przebłagać.

— Jeżeli nie dla mnie, to dla tego biednego dziecka. Wszak ono niewinne. A jeżeli nam nie przebaczy, to chyba do księżego pójdę młynka; tam jest woda najlepsza. I temu dziecku byłoby lepiej, niż tak na świecie ma być sierotą, naprzód bez ojca, a wkrótce bez matki, a potem żebrakiem, może nawet i ślepym.

— Aż skoczyła ze strachu biedna matka — mówił znowu Semen — i w pierwszej chwili chciała prawie uciekać z dzieckiem na rękę, aż dopiero on ją uspokoił i, wzięwszy dziecko na rękę, przysiągł jej, że, cokolwiek się stanie, póki on żywy, to dziecko nie będzie sierotą, nie będzie żebrakiem.

W tej chwili zdało się Semenowi, że słyszy jakieś stapanie. Ogląda się, lecz nic nie dostrzegł i nic nie dosłyszał. A przecież nie mylił się pierwej, bo w tej chwili właśnie skradającym się krokiem, schylając się ostrożnie pomiędzy krzakami, by go nie usłyszeli, czolgając się prawie, jak wąż, przysunął się Iwan, ów, jak już wiemy, ostatni prawnuk i ostatni potomek króla dziadów. Stał za ułamkiem skały i przez gęste konary starej brzozy patrzył na Eugeniusza. Jeżeli chód jego przypominał czolgającego się węża, tem podobniejszy jeszcze był wzrok jego jadowity, zły i namiętny, do krwisto lśniącego wzroku gadziny podobny.

— I poszedł z matką i z dzieckiem do króla dziadów, i wraz z niemi klęknął przed starym Wasylem. Nie było tego potrzeba nawet. Jak zobaczył ulubioną ostatnią

wnuczkę swoją w takiej nędzy, w takim stanie, nie mógł stary wytrzymać i ryknął takim płaczem, jakim chyba kobiety czasem zawodzą. I już potem do śmierci zostali oboje, i matka i syn, przy starym Wasylu.

To rzekłszy, Semen spuścił głowę i zamilkł, jakby już skończył swoje opowiadanie.

— I cóż dalej? — pytał Eugeniusz rozciekawiony.

— Co dalej?... Paniczu, jak ona was kochała!

— Więc zaraz została moją mamką?

— A tak! Ale cóż z tego, kiedy codziennie była słabsza i sama już nieraz o blizkiej rozmawiała śmierci.

— Biedna kobieta!

— Pamiętam, jak raz wyszła z paniczem aż na drogę, wiodącą do Niżyniec. Jej krewny, ów żebrak z pod figury Pana Jezusa, chodził codziennie na drogę niżyniecką, aby zobaczyć Olanę i tego pięknego panicza, który się do niej uśmiechał tak czule, jakby do rodzonej matki! I wtenczas okropnie już wyglądała, a powiedziała mu, że to ostatni już dzień, w którym zostanie w Wyżnicach, bo i jej już sił nie starczy, i państwo, a osobliwie sam pan hrabia stary nie kontent z niej, mówiąc, że straszy ludzi swoim wyglądem.

— Biedna! — wyrzekł znowu Eugeniusz, i zakreślił mu się łzy w oczach.

— Oj, biedna! prawda, że bardzo biedna była, gdy jej przyszło pożegnać się z wami, paniczu; co ona lez wylała, ile razy uściskała, a za każdym razem zdawało się jej, że to już będzie dla niej raz ostatni, bo to pożegnanie było nad jej siły. I wtenczas to powiedziała do mnie: „Semenie! pamiętaj zawsze czuwać nad tem dzieckiem“. Semen przysiągł i dotrzyma przysięgi.

Nastąpiła chwila milczenia. Oba mówiący zadumali

się. Jakkolwiek wielka była między nimi różnica stanu i wychowania, łączyły ich w tej chwili uczucia i wspólne obydwoim łzy, których Eugeniusz wcale się nie wstydział. Zaczajony Iwan za to patrzył na obydwoh z wyrazem złośliwego szyderstwa.

— I wkrótce potem umarła? — zapytał znowu Eugeniusz.

— W trzy dni po powrocie z Wyżyniec już nie żyła...

— A ten Węgier czy Cygan, jak go nazywasz, czy nigdy się nie pojawił?

— Nigdy! I dobrze zrobił... bo ja nie chciałbym go dostać w swoje ręce! — odrzekł Semen, którego twarz ospociał wyraz srogiej zawziętości. — Wiem tylko, że mu poszło na pohybel... Miał i dom i ładny dobytek... Spalili go kilka razy, i teraz chodzi po żebrach, gdzieś tam na ziemi węgierskiej.

— Bóg go skarał!

— A Bóg! — odmruknął Semen szyderczo.

— A ten mały jej synek?

— A jest! — odrzekł Semen z obojętnością, która Eugeniusza mocno zdziwiła.

— Tym małym synkiem jestem ja! — ozwał się nagle głos obcy i szorstki, i z poza skały i drzewa wystąpił Iwan z złośliwym uśmiechem na ustach.

— To ty? — zawołał jeszcze więcej zdziwiony Eugeniusz i spojrzał na niego z uwagą. Im więcej mu się przypatrywał, tem więcej rosło jego zdziwienie. Po pełnem uczucia opowiadaniu Semen inaczej go sobie wyobrażał młody nasz bohater. Ta cała twarz, napiętnowana wszystkimi najgorszymi namietnościami, zrobiła na nim wrażenie nadzwyczaj przykre. — I gdzież te oczy czarne, tak chwalone przez Semenę? — pomyślał w tej chwili.



— Tym małym synkiem jestem ja!

Nastąpiła chwila milczenia. Obaj młodzi ludzie, pan i żebrak, patrzyli na siebie z uwagą. Dwa wzroki skrzyżowały się błyskawicą. W spojrzeniu Iwana była wyraźna nienawiść. W spojrzeniu Eugeniusza przeważała zgroza, jakby na widok zbrodniarza. Im więcej wpatrywał się w młodego żebraka, tem mu się to dziwniej wydawało, że w tej twarzy tak złośliwej, a mimo to tak pięknej, uderzył go jakiś rys znajomy, jakgdyby coś podobnego widział niedawno. Lecz gdzie? nie mógł sobie przypomnieć.

I Semen patrzył na obydwóch, a spojrzenie jego zdradzało wewnętrzną walkę uczuć.

— Czego się wałęsasz, Iwanie! — zawołał nareszcie głosem pogardliwym. — Skradać się! podsłuchiwać! to tylko umiesz.

— Chciałem tylko przekonać się, czy twego górala związane oko podobne do niezawianego! — odrzekł zuchwale i z głośnym uśmiechem.

— Idź już! — mówił Semen coraz gwałtowniej — bo pójdę do twojego dziadka.

— Do mojego dziadka! — odrzekł Iwan, wykrzywiając twarz szyderczym śmiechem. — Idę już, nie chcę wam przeszkadzać! — dodał, oddalając się. — Ale przyjdzie i dla mnie czas, w którym nikt mi już nie przeszkodzi.

Eugeniusz spoglądał za nim z wzrastającą odrazą.

— Więc to on! on! — mówił w pół zamyśloni.

— W tym chłopcu dziesięciu czartów siedzi! Wyrósł na pastwę dla szubienicy.

— Syn Olanki! — rzekł Eugeniusz, zdziwiony odezwaniem się Semena. I w dawną zapadł zadumę. Na chwil kilka oderwany od myśli o ukochanej Hani, zamarzył

znowu o niej i o dniu jutrzejszym, którego mimowolnie bał się po ostatnich Hani słowach.

Semen, jakby zgadywał myśli młodego człowieka, przemówił, łagodząc głos, jak pierwaj, przed przyjściem Iwana.

— I ja wtenczas przysiągłem Olance, i póki jeszcze żywy jestem, przysięgi dotrzymam. I choć nędzny żebrak, mogę dotrzymać. Wy, paniczu, możecie być szczęśliwym i będziecie nim z Hanią.

— Z Hanią! — jak echo, odpowiedział młodzieniec.

— Bo choć ja nie śmiem się zbliżać do niej, jako do panienki, wiem najlepiej, co to za pocziwe i dobre serce bije w tem dziewczęciu.

Najlepszego sposobu użył Semen. Eugeniusz bowiem, usłyszawszy imię ulubionej, słuchał go z uwagą.

— Ale wy, paniczu, tu nie możecie zostać.

— Ja jej nie chcę porzucić.

— Rodzice wasi nie pozwolą.

— Rodzice moi! Jam nie niewolnik! — zawołał dumnie i burzliwie. — Jeżeli nie zechcą pozwolić, obejdę się bez ich pozwolenia.

— I dlatego najlepiej zrobicie, paniczu, jak wyruszyć stąd wraz z Hanią, het daleko, tam, gdzie i świat piękniejszy i gdzie ludzie wolniejsi, tam w piękne góry nasze. Ja znam jedno miejsce w górach na samej granicy węgierskiej, miejsce mało komu znane; tam was nikt nie znajdzie, żaden was przymus niewolić nie będzie. Tam możecie mieć śliczny dworek, z którego na obydwie kraje patrzeć możecie, a przy dworku i obórka, i szalassów parę na górskich poloninach, i kilkanaście staj pola, i pastwiska własne, i własny laszek świerkowy.

— Zapomniałeś tylko, Semen — przerwał Euge-

niesz z uśmiechem napół już wesołym — że do tych wszystkich pięknych rzeczy brakuje...

— Pieniądzy, myślicie, paniczu? Słuchajcie, paniczu! — mówił dalej, zniżając głos i oglądając się, jakby się bał, by go nie podsłuchano. Żeby tylko ten Iwan się znowu gdzie nie schował. — Semen, choć biedak, ale wie pewien sposób, wie jedną tajemnicę, i on wam, paniczu, odkryje ją, i będziecie szczęśliwi.

— Sposób? tajemnicę? — zapytał Eugeniusz, wpatrując się ciekawie w żebraka.

— Ale musicie mi przyrzec, że się stanowczo stąd wyniesiecie.

— Dlaczegoż tak ci o to idzie, mój Semenie?

— Bo, widzicie, paniczu, ja tak myślę, że dla was nie jest życie takie, jakie wy tam pędzicie w Wyżynach. A potem rodzice czasem różnych rzeczy żądają... ot, na przykład, jak to bywa u każdego króla dziadów, że musi zostać ślepym.

— Tego przecie nie mogę się obawiać.

— Zapewne. Ale w każdej rodzinie różne są takie jakieś żądania; czyż nie lepiej usunąć się?

— Nie rozumiem cię, prawdziwie, mój Semenie.

— Paniczu! ale ja siebie rozumiem. Wierście mi, wyruszajcie co prędzej. Semen wie, co mówi.

— Czyliż mi jakie grozić może niebezpieczeństwo?

— Paniczu! paniczu! czy wy wiecie, jak łatwo niebezpieczeństwo przyjść może. Jedźcie! ja was proszę, bo inaczej panna Hania przepadnie dla was.

— Hania nie zezwoli i sama nie zechce.

— Ej, gdzie tam! jak wy zechcecie, to ona porzuci i ojca i matkę i tę swoją cioteczkę, którą najwięcej kocha.

— I ja mam ją namawiać do tego? — zawołał Eugeniusz, któremu po raz pierwszy może zaczęły się oczy otwierać i cały jego wybryk romantyczny w prawdziwym okazywać świetle. W tej chwili jednakże przemogła ciekawość młodzieńcza. Chciał się dowiedzieć o tajemnicy Semena. — A gdybym się nareszcie i zdecydował? — zapytał.

— Bylibyście, panie, oboje spokojni, szczęśliwi i bogaci.

— Bogaci nawet?

— Bogatsi, niż w Wyżnycach, bo...

— Mów więc!

— Ja wiem o pewnym skarbie.

— O skarbie?

— Zakopanym.

— Gdzie?

— Tu, niedaleko. Ale nie mówcie nikomu, żeby się, broń Boże, nie dowiedział stary Wasyl, król dziadów.

— Jakież to skarb?

— Ten stary sknera Wiciewicz zakopał go tamtej nocy. I od dawna już go szpieguję, bo od dawna przeznaczam ten skarb dla was, panie.

Pons wstydu oblał lica Eugeniusza. Więc jemu śmiało takie robić przedstawienia? Zerwał się z miejsca, pełen gniewu; lecz, widząc dobroduszość, z jaką mu Semen podobne podaje plany, nie miał śmiałości gniewać się na niego. Zerwał się więc tylko z miejsca swego i rzekł do Semena:

— Ot, marzysz w dzień, zamiast w nocy, mój Semenie. Lecz już późno, jestem zmęczony.

I pobiegł, zostawiając Semena, który w najlepszej wierze przekonany był, że uszczęśliwił Eugeniusza. Ten

tymczasem, jak mówiliśmy, coraz wyraźniej poznawał nierozwagę swojego postępowania. Lecz w tej chwili nie ma na to rady. Jutro ma mówić z Hanią; czyliż nawet jest zdolny zastanowić się zdrowo nad położeniem swoim i pomyśleć, co mu właściwie czynić wypada?

Przyszło nareszcie to jutro, tak gorąco upragnione, i ta godzina oczekiwana. Oparty o stojące niedaleko od płyty kamiennej drzewo, Eugeniusz nie spuszczał oka ze ścieżki, wiodącej do obu chat króla dziadów. I zabiegało pomiędzy drzewami; to błysnęła biała sukienka. Serce młodzieńca zadrżało. Hania stała już przed nim.

Eugeniusz wpatrzył się w nią, chcąc z jej twarzy wyczytać najwewnętrzniejszą jej myśl. Twarz Hani była na pozór spokojna, jak zawsze, może tylko bledsza. I coś dziwnego!... Pierwsze cierpienie to jakby pierwszy powiew burzy letniej, skwarnej; jak przed nią, tak przed nim pełzną wiośniane barwy kwiatu i dziewczęcych lic. Eugeniuszowi twarz ta wydała się dziś stokroć piękniejsza i była nią rzeczywiście, a uszlachetniający jest zawsze wyraz pierwszego silniejszego uczucia. W oczach tylko Hani przebiegał głęboki smutek i ciężki ból, mnóstwem gorzkich łez wypłakany.

Smutna to rzecz, gdy w wiosnie życia zawitają pierwsze lzy bólu serdecznego; już nie wyschną nigdy zupełnie z oczu, a jak wyschną, to padną na serce kamieniem rozpacz i póty je cisnąć będą, póki to serce nie zamilknie na zawsze.

Hania całą noc przegadala z cioteczka, której powiedziała wszystko, i całą noc przeplakały obiedwie. Ciotka ani jej wymawiała, ani żadnej wyraźnej nie chciała dać rady. Ona jej własne tylko opowiadała dzieje. Dzieje to zwyczajne, tak często powtarzające się w życiu niewia-

sty; lecz, niestety! nikogo nie pouczają, bo serce niewieście jest, jak ów motyl wieczorny, rzucający się na oślep w pałac światła.

I Weronika była młoda, przystojna, z sercem i umysłem wykształconemi i upoetyzowanemi przez lepsze wychowanie. Poznała młodzieńca, syna swojej opiekunki, w którego pięknych oczach widziała wszystko, co tylko widzieć chciała, wszystkie najcudniejsze marzenia i wszystkie najpoważniejsze nadzieje. I było w tych oczach tyle przyrzeczeń, tyle uroku i tyle prawdy. Napróżno zimny odzywał się rozsądek, życie kobiety całe jest w sercu; i sercem uwierzyła Weronika w słodkie oczy i słodkie słowa młodzieńca, i sercem poświęciła mu się cała. Cudowne, czarowne były pierwsze chwile! bo miłość pierwsza zaczyna się od złudzeń, póki nie skończy na rozczarowaniu; bo miłość każda to jak poezja młodzieńca, zaczęta od dytyrambów i ód ognistych, a skończona najczęściej na elegii konającego lub szydłerczej satyrze przesyconego umysłu.

Krótkie są chwile szczęścia. Doznała tego Weronika. Piękne kochanka oczy coraz więcej ciemniały, wyraz zapału i prawdy znikał, a natomiast wyglądało złudzenie i udanie.

Kobieta, gdy kocha, opiera się do ostatka najwyraźniejszej oczywistości. To samo długo się działo z Weroniką, która, poświęciwszy kochankowi całe życie swoje, nie chciała wierzyć, żeby jej poświęcenie mogło być kiedy zapomniane, lub niewdzięcznością splacone. Lecz taka jest zwykła kolej ludzka! Poświęcający się zawsze traci, bo nigdy nie ma słuszności. A ile zawsze najsprawiedliwszych pozornie zarzutów zrobi mu ten właśnie, dla którego się poświęca. Poświęcenie tak łatwo przy-

jąć, a jeszcze łatwiej żądanie wzajemności nazwać żądaniem lichwy.

Przyszła wreszcie czas, w którym musiała to zrozumieć Weronika. Ile cierpiała, rozumieją te tylko, które doznały srogich cierpień opuszczenia. Napróżno walczyła jeszcze czas jakiś Weronika. Próżna walka, bo gdzież broń do niej? Dawne wdzięki stają się obojętnymi, jakby widok obrazu choćby najpiękniejszego, którego niezmienne rysy nie są już zdolne ożywić zubożniałej myśli. Podwojone dowody miłości!... To jakby przyprawa potrawy dla smakosza. Codzień pieprzniejsza! codzień mniej smaczna! Narzekanie głośnie to napaść, to dowód charakteru złośliwego, który tylko z domu wypędzić może. Cicha tęsknota to znowu nudy domowe, sentymentalna tkliwość, mogąca zanudzić na śmierć. Lzy nie tajone to chęć skarżenia się przed całym światem, to rola nieszczęśliwej ofiary. I któż zdoła je wytrzymać, pomijając już to, że lzy niszczą skórę i przyćmiewają blask oczu.

Wszystkiego próbowała biedna Weronika, aż w końcu, przekonawszy się, że nic już pomódz nie może i że każda taka scena, choćby najczulszem pogodzeniem skończona, pożycie ich wspólne codzień robi niemożliwszem, nie chcąc być kiedyś sama opuszczoną, opuściła pierwszą, bez wyrzutów, skarg i lez próżnych. Ona chciała przynajmniej choć wdzięczną zostawić po sobie pamiątkę. Życie jej zostało złamane na zawsze i zatrute wszystkie uczucie i szczęścia źródła. Reszta życia miała być ciągłą walką z rozpaczą serca, której nie ukoji najrozsądniejsze rozumowanie.

Te to najtajemniejsze sceny przebytych walk, dni długich bez pociechy, dłuższych jeszcze nocy bez snu, opowiedziała Weronika swojej bratance.

— Cioteczko, ty nie znasz Eugeniusza! On lepszy od innych, on lepszy od całego świata!

— Dziecko jesteś, moja Haniu — odrzekła Weronika smutno. — I jam była kiedyś takim dzieckiem i mój Artur kochał mnie i był rzeczywiście pełen szlachetności. Twój Eugeniusz, którego ledwie parę godzin znasz, może być stokroć lepszy jeszcze, ale mimo najlepszej chęci nie będzie mógł wyzbyć się wad ludzkich i przywar społeczeństwa, w którym się urodził.

— Cioteczko! przez twoje usta nie serce przemawia, ale smutne doświadczenie, które ci zasępia i zasłania świat cały. Kiedy ja czuję, że go kocham wszystkimi siłami mego serca i duszy mojej! Ja bez niego żyć nie mogę i nie będę!

— Jeżeli go kochasz, to właśnie dla niego poświęć nadzieję krótkotrwałego szczęścia. Czy myślisz, że on będzie szczęśliwy, idąc przeciw woli swoich rodziców? A i ty czy nie uczujesz kiedy żalu, gdy ci na myśl przyjdzie, żeś się sprzeciwiła woli rodziców?

— Tato i mama kochają mnie!... oni nie zechcą mego nieszczęścia.

— Czyliż mogą być za takim związkiem? Eugeniusz jest jedynakiem w rodzinie, której twój ojciec, dziad i pradziad wiernie i długo służyli.

Długo jeszcze rozmawiały. Hania stawiała się coraz mniej wymowną; łzy mówiły za nią. A gdy nadszedł ranek, Hania, klęcząc przed ciotką, ocierała splakane oczy i gorące ku niebu wznosiła modły.

Postanowienie biednej dziewczyny było niezmiennie, bo czuła, że tak a nie inaczej postąpić musi. A przecież, gdy, dochodząc do płyty kamiennej, ujrzała Eugeniusza, patrzącego na nią z tak szczerą miłością, z tak silnym

wyrazem wewnętrznego niepokoju, zadrżała biedaczka, czując, że ją odwaga odstępuje. Nie mogła też nawet przyjść zaraz do słowa, bo jej tchu brakowało.

— Haniu moja! — zawołał pierwszy Eugeniusz i porwał ją za rękę.

Hania odpowiedziała mu uściśnieniem ręki i spojrzeniem, pełnem niewysłowionej miłości.

— Haniu, czy kochasz mnie? — pytał ją Eugeniusz dalej, mniemając w swem młodzieńczem niedoświadczeniu, że w tem jednym słowie mieści się cała władza, której się serce dziewicze oprzeć nie zdoła.

— Kocham! — odrzekła, ale tak cicho i smutno, że aż łzy przeczucia zawisły na oczach młodzieńca.

— Dlaczegoż jesteś tak smutna, luba Haniu? Ja ciebie kocham, jak nikt kochać nie może, i wierząc przysiędze mojej, że nigdy kochać cię nie przestane. Całą życia mego myślą będzie uczynić cię szczęśliwą.

Hania nic nie odpowiedziała; łzy, z początku tłumione, coraz rześciej padać zaczęły z pięknych jej oczu.

— Ty płaczesz? — zawołał przestraszony naprawdę młodzieniec. — Co tobie, Haniu?

— Bo dziś ostatni się raz widzimy — odrzekła biedna dziewczyna, głośno łkając.

— Skądże ta myśl? Ja już ciebie do śmierci nie porzucę.

— Ty mnie nie rozumiesz! Posłuchaj mnie, mój drogi Eugeniuszu. Ze cię kocham z serca, jak tylko kochać można, Bóg to widzi najlepiej i tobie, mój drogi, najlepszy tej miłości dowód daję, gdy cię proszę o to, byśmy się dzisiaj raz ostatni widzieli.

— Teraz na mnie kolej powiedzieć, że cię nie rozumiem.

— Zapomniałeś, mój Eugeniuszu, co nas dzieli, zapomniawszy, czem są moi rodzice.

— Czyliż mogą być przeciwni naszej miłości? Chodźmy do nich! Oni zezwolą.

— Nie ludźmy się daremnie. Gdyby nawet oni, wiedzeni fałszywym próżnością uczuciem, zezwolili, ja nie mogę przystać i, jak cię kocham, nigdy nie przystanę, bobyś był całe życie nieszczęśliwy.

— Ja nieszczęśliwy z tobą?

— A twoi rodzice, mój drogi?

— Matka i stryj przystaną, gdy im powiem, że bez ciebie żyć nie chcę; tylko ojciec sprzeciwi się. A choćby i wszyscy byli przeciwni, czyliż ja się mam poddać cudzym przesądom tam, gdzie idzie o szczęście mego całego życia i, spodziewam się, o twoje także szczęście?

— Tak mówisz teraz i mówisz, co czujesz. Ale jakby ci przyszło żyć zdala od stosunków, do których od dziecka jesteś przyzwyczajony, zda'a od rodziców, bez ich może błogosławieństwa, uczułyś z czasem żal za nimi, któryby powoli przeszedł w żal do mnie. Wierz mi, mój drogi! ja kobieta—a kobiety już są przeznaczone do tego, aby porzuciły dom rodzinny i w oddaleniu od rodziców osobne pędziły życie—a przecież czuję, że nie mogłabym bez wiedzy rodziców opuścić ich domu.

— Dla mnie nawet nie, Haniu?

— Właśnie dla ciebie, Eugeniuszu, bo bałabym się, by ci nie udzielić przekleństw moich rodziców, które ciężą okropnie. Eugeniuszu! Bóg świadkiem, że mi się serce rozdziera, gdy te słowa wymawiam. Rozstańmy się dzisiaj, a przynajmniej zostanie nam pamiątka kilku chwil najcudniejszych — jak cudnych! o mój Boże! — zostanie

to przekonanie, żeśmy się poświęcili dla spełnienia naszych obowiązków.

— Nie! nigdy! — zawołał Eugeniusz, którego umysł gwałtowny nie pojmował powodów, przytoczonych przez Hanię.

Lecz daremne były wszystkie słowa Eugeniusza, daremne prośby, błagania i zaklinania, daremne gniewy i wyrzuty. W dziewiczym i młodem łonie Hani dzielna mieszkala dusza. Lzy połykała własne, które ciężko spadały na serce, miotane srogiem cierpieniem; ta boleść wydawała się nad jej siły fizyczne, ale mimo to dziewczę nie zachwiało się w swoim postanowieniu.

— Eugeniuszu! jeżeli mnie szczerze kochasz, jeżeli nie zechcesz uczynić mnie nieszczęśliwą, nie nalegaj na mnie! — rzekła w końcu, składając przed nim ręce jakby do modlitwy. — Miej litość nade mną, ja ciebie błagam i zaklinam, Eugeniuszu! Ja nigdy twoją być nie mogę! To moje ostatnie słowo.

— Dobrze więc! przyjmuję to słowo — odpowiedział Eugeniusz — przyjmuję, ale tylko na czas, dopóki trudności, jakie ty widzisz, moja Haniu, nie zostaną usunięte, a że je usunę, na to ci przysięgam. Rodzice moi sami ci to powiedzą... a wtedy, Haniu... wtedy?...

— Wtedy! — odrzekła Hania i usta jej zadrżały. — To nigdy nie nastąpi.

— Nigdy! — jakby echo jakie, powtórzył głos jakiś obcy.

Wzdrygnęła się przerażona dziewczyna i wyrwała rękę, którą Eugeniusz tulił do łona.

— Co to znaczy? — zawołał młodzieniec. — Ktoś nas podsłuchiwał.

— I śmieje się z was! — rozległ się ten sam głos, jakby z góry pochodzący.

Jakoż rzeczywiście zaśmiał się ten sam głos prze-
rażliwie i z takim szyderstwem, że oboje mimowoli
zadrżeli.

— Znam ten głos — rzekła Hania po cichu. — To
głos Iwana. Eugeniuszu, unikaj go, bo w tym młodzieńcu
jest dusza czarna, jak samo piekło. Bądź zdrow, Euge-
niuszu! — dodała, uciekając ścieżką ku rodzinnej chatce.

— Haniu! powiedz: do widzenia!

— Do widzenia, mój drogi! — zawołała — tam! —
dodała ciszej, zwracając błękitne oczy ku niebu.

— Do jutra! — zawołał za odchodzącą Eugeniusz, lecz
snać już nie dosłyszała, bo żadnej na to słowo nie otrzy-
mał odpowiedzi.

I wbiegł z powrotem do lasku, zamyślony, niespokoj-
ny i smutnemi dręczony przecuciami. Daremnie się o-
glądał na wszystkie strony: Iwana nigdzie nie ujrzał,
lecz skoro tylko znikł w gęstwinie, poruszyły się ga-
łęzie wysokiej brzozy, jakby je burza dotknęła, i z sa-
mego wierzchołka skokiem kota lub raczej tygrysa, zbiegł
Iwan, szyderczo patrząc na obie strony, w których znikli
kochankowie.

— Do jutra! — powtórzył za Eugeniuszem z szatań-
ską złośliwością. — Jutro do mnie należeć będzie! Wiem
wszystko i odbiorę wszystko, co mi się należy. Porachu-
jemy się, mój ty paniczku!

Eugeniusz tymczasem odchodził zamyślony. W pierw-
szej chwili postanowił był wrócić zaraz do Wyżyniec,
powiedzieć rodzicom i stryjowi wszystko i nie ruszyć się
póty, póki by nie przystali na jego prośby. A jeżeli by od-
mówili? Nie chciał się nad tem nawet zastanawiać, bo

VI.

Jeszcze w Wyżynach.

Zanim list ten dojdzie do Wyżyniec, musimy raz je-
szcze zajrzeć do dworu pana hrabiego Wyżyńskiego. Lecz,
że droga wiedzie do Nizyniec, wstąpimy tam choć po to
tylko, aby się dowiedzieć, co tam prawią o zniknięciu Eu-
geniusza nasi poczciwi małomieszczanie. O ile ich po-
znaliśmy, łatwo pojąć możemy, że najdziwaczniejsze bie-
gały wieści o tym wypadku, a im które były nieprawdo-
podobniejsze, tem łatwiej trafiły do umysłów niżynieckich.
Co napleciono w tej mierze, co nabajano, trudno spisać.
Były w tej historii szczegóły przyrodzone i nadprzyrodzo-
ne, bo i o romansie z jakąś czarownicą gadano, i o roz-
bójnikach, i o Łysej Górze, i o upiorach, i Bóg wie o czem
jeszcze. Najwięcej jednakże zwolenników znalazł Hektor
Bums, któremu, jak wiadomo, nasz bohater niekoniecznie
przypadł do smaku, i który rozповідаł, że Eugeniusz
Wyżyński należał do jakiejś nowej sekty, która z far-
mazonów się wywodzi i że przez agentów, aż z Rzymu
przybyłych, został zapewne schwytany.

— Szkoda chłopca! taki ładny! — wołały wszystkie
wyżynczanki. — I cóż z nim zrobią?

Tu Hektor Bums, przybierając postawę nader tajemniczą i mieszając razem Wenecję z Rzymem, opowiadał nader tragicznie i patetycznie o ogromnym moście olwianym, do którego wielkich zbrodniarzy zamykają i po którym ci lażą, jak dusze w czyście, czukając kąta chłodnego, bo olów roztopiony kapie im na nos, i póty szukają, aż nareszcie spadają do Tybru, i tam się już na wieki chłodzić będą.

— Po naturalnie — dodawał pan Bums — ten most wzniesiony jest ponad Tybrem tak wysoko, że najwyższe okręty przechodzić mogą.

Słuchające Niżyńczanki przeżegnały się i zmówiły paciorek, tak je przeraziło to kapanie na nos roztopionego ołowiu.

A i u pana Glinieckiego wielki panował żal z powodu smutnego losu naszego bohatera. Sam Gliniecki żałował zięcia; a cóż dopiero powiedzieć o pannach, którym ogromnie przypadł do smaku ładny chłopiec.

Starsza panna uważała go już za swego, bo z nim tańczyła, a młodsza, bo z nim dopiero tańczyć miała.

Wszystko to miało swoją stronę komiczną. Ale za to tem prawdziwsza, tem tragiczniejsza była troska o Eugeniusza w Wyżyńcach. Nikt tam pojąć nie mógł, co się z nim tak nagle stać mogło.

Major uspokajał wszystkich i chwilami sam był przekonany, że to jakiś romans w okolicy stał się tego zniknięcia przyczyną; lecz i on sam miał co do swych przypuszczeń wątpliwość, bo się w całej okolicy nie mógł domyślić przedmiotu romansu tak poważnego. Całe poprzednie postępowanie Eugeniusza, szczupłe jego znajomości i rzadkie wyjeżdżanie z domu nie dawały powodu do podejrzenia go o wybryk tak niespodziewany i ro-

mantyczny. Były chwile, w których majorowi, mimo zimnej jego krwi, mimo rozsądku i doświadczenia żołnierskiego, przychodziły do głowy najczarniejsze myśli.

Biedna matka głucha była na wszelkie perswazyje i najprawdopodobniejsze tłumaczenia. Ona powtarzała ciągle jedno:

— On zgubiony dla mnie na zawsze. Ja to od dzieciństwa przewidywałam. Nie wiem dlaczego, ale od małego zdawało mi się, patrząc na niego, że patrzę na dziecko jakieś obce, które lada chwila może mi być zabrane. To było zapewne przeczucie.

— Pani bratowa daruje — mówił major, a w głosie jego najpocieszniej łączyła się szorstkość żołnierza z jego do bratowej czulem przywiązaniem — ale nie godzi się wierzyć w jakieś tam przeczucia. Pfe, bratowo!... No! no! nie trzeba płakać.

Matka nic nie odpowiedziała, ale łez powstrzymać nie mogła. Biedny major nieraz musiał uciekać, czując z niemalym wstydem dla swojej wojskowej powagi, że i jemu zwilżają się oczy.

Nawet i sam hrabia Ignacy znacznie posmutniał, co objawiał ciąglem żrzeniem na żonę i brata, zarzucając im, że to oni swojemi pieczytami i wychowaniem, jakie przeciw jego woli dali Eugeniuszowi, są przyczyną wszystkiego złego:

— Gdybyście mnie byli słuchali i posłali na pensję lub do jakiego zakładu zagranicznego, nie byłby z niego taki romantyczny mazgaj. A teraz macie! Włazł w jakąś awanturę i basta!

Czy go żałował jako ojciec, trudno było zaręczyć; zdaje się raczej, że, tracąc Eugeniusza, tracił ostatni środek ratowania się przez bogate ożenienie się syna.

A tak już sobie pięknie ułożył w głowie, jak, ożeniwszy syna z Gliniecką lub z inną podobną dorobkiewiczówną, posagiem jej zaraz Wyżynce oczyści, a zwłaszcza pałac dokończy i zacznie żyć na stołę, godną rodziny Wyżyńskich!

— On do niczego mieszać się nie będzie — myślał sobie hrabia Ignacy o synu — i ciągle będzie bujał w obłokach i marzył o niebieskich migdałach. Parwienuszką nie będzie śmiała się nawet odzywać... a ja rządzić, ja żyć, ja bawić się będę.

I ten ładny projekt prysnął nagle, jak gmach karciany, jak bańki mydlane. Jakże tu nie rozpaczać?

W takim to usposobieniu zastajemy pana Ignacego w jego gabinecie, gdzie teraz samotnie przesiadywał, bo ani żona, ani major do salonu nie przychodzili. Odznaczającą się zwykle brakiem wyrazu twarz jego teraz szpeciło skrzywienie. U ludzi samolubnych, nawskroś egoizmem przesiąkniętych, każde cierpienie fizyczne czy moralne objawia się jednakowem skrzywieniem, czy idzie o honor czy o żołądek...

Tym razem, prócz zaprzepaszczenia się syna, miał inne jeszcze powody do smutku i rozmyślań, i to powody natury poważnej. Leżał właśnie przed nim list ze stolicy, pisany przez plenipotentą.

Wiadomości od pana plenipotentą były bardzo smutne i wbrew zwyczajowi panów plenipotentów nie obwijane wcale w bawelnę. Panu Krętowiczowi znudziło się już być plenipotentem dla honoru tylko, bez żadnego zysku. Donosił tedy panu Ignacemu, że wszystkie jego usiłowania są daremne, pominąwszy koszty, które wyliczał z aptekarską dokładnością i takąż sumiennością. Mimo wszelkich tedy wysiłków jego mózgu, wpływów i zaawanso-

wanych pieniędzy, nie może wstrzymać ani ostatecznej licytacji Wyżyniec, przypadającej już za tydzień, i to „infra praetium“, ani nawet sekwestracji wszystkich ruchomości, którą jakiś starozakonny, Szmul Łapsiewicz, wyrobił sobie i którą ma już w ręku komornik Rozbójski, znany z swej komorniczej akuracności i nieublaganej pożądlivosti diurnowej; że zatem za trzy lub cztery dni najdalej W-ny Rozbójski zawita do Wyżyniec; a więc „sapienti sat!...“ kończył Krętowicz po łacinie, aby dowieść, że jest rzetelny. W końcu było jeszcze następujące „postscriptum“:

„W tej chwili dowiaduję się, że Abramko Bardach, na mocy zaprotestowanego weksłu, wyrobił sobie areszt na szanownej osobie J. W. pana, który to dekret p. komornik Rozbójski, J. W. panu nie sprzyjający „ob causam“ dotąd niewypłaconych mu a przysądzonych kosztów komorniczych, ma „sub uno“ z sobą. Donosząc o tem, błagam, abyś J. W. pan raczył przy takich konjunkturach radzić sobie wedle możliwości i, odbierając ode mnie swoje papiery, uwolnił mię od wszelkiej odpowiedzialności, której na mojem czystem sumieniu mieć nie chcę“.

Odebrawszy takie wieści, pan Ignacy darmo suszył sobie głowę, jakimby sposobem ratować się jeszcze. Droga tak wygodna i tak wypraktykowana przez naszych adwokatów, droga delacyi, już była dlań zamknięta. O kredycie ani myśleć, bo ostatni Żyd, który go jeszcze na ogromną lichwę ratował, Sruł Feigele, wyraźnie przed kilkoma dniami powiedział, że mu już nadal pomagać nie może.

Położenie hrabiego było rzeczywiście oplakane. Bo ze stanowiska takiego, na jakim był dotąd, stoczyć się nagle w otchłań nędzy, poniewierki, w błoto, jednym sło-

wem — to okropne! Jest to straszne dla każdego, choćby na najniższej stał towarzyskiej drabinie, ale dla pana z rodu, z wychowania, z nawyknień jest to stokroć okropniejsze. Wyznać tę prawdę musimy na przekór wszelkim niwelatorom społecznym. Daremna rzecz! łatwiej i mniej boleśnie wywrócić się małym drabiniastym wozem, aniżeli ogromną na wysokich resorach zawieszoną kareta, i dlatego to może wszystkie karetki terazniejsze tak niziutko są zawieszane. Przyznajemy to, ale tem więcej dziwny się nieprzezorności tych, którzy najczęściej takiemu upadkowi majątkowemu podlegają, a którzy przez to samo takiego upadku ustrzedzby się powinni, że ich minie nawet ta litość, jaką się ma dla ludzi przez jakie ryzykowne przedsięwzięcia zrujnowanych, a jakiej każdy odmówi trwoniącemu przez próżność zbytowi.

Pan Ignacy w prawdziwej był rozpacz, jakkolwiek nie w rozpacz człowieka charakteru, zdolnego do energicznych wysiłków lub energicznego przedsięwzięcia, chociażby nim było samobójstwo. Rozpacz pana Ignacego była rozpacz ludzi, słabym i chwiejnym obdarzonych charakterem. On się żyzmał i gniewał na świat cały, wszędzie szukał winy, a najwięcej u tych, którzy nie chcą mu pożyczać na zapłacenie lichwiarzy.

— Onby chętnie bił wszystkich otaczających, aby wyrzucić złość swoją, aby się zemścić na kimś za własne winy. I w swej zapamiętałości każdego widział winnym, który, jak mu się zdawało, mógł a nie chciał pomóc, choćby z własnym uszczerbkiem.

Tak obwiniając innych o upadek swej fortuny, a nie biorąc się sam do ratowania jej, bił się pan Ignacy z myślami, a tymczasem godzina ubiegała za godziną. Nie widział żadnego sposobu ratunku. Pieniądzy znikąd

dostać, pozorów prawnych do odwołania smutnej katastrofy już nawet i plenipotent wynaleźć nie mógł.

Wszystko to myślą przebiegł pan Ignacy, zbierając i rozbierając w głowie wszelkie możliwości. Daremny móżol. Ni sposobności! ni energii!... A choćby i znalazła się sposobność, toby już na energię nie potrafił się zdobyć.

— Więc zginać trzeba i zostać pośmiewiskiem całego świata? — pytał pan Ignacy samego siebie, biegając po kancelaryi z złowrogim listem w rękę.

W takim był usposobieniu, gdy się otworzyły nagle drzwi, i wszedł przez nie Sruł Feigele. Ze zwykłym u Żydów uszanowaniem, które jest raczej u nich dowodem tchórzostwa, skłonił się nisko, a nawet jarmulkę zdjął, a przecież nie mógł wytrzymać, by nie spojrzeć szyderczym wzrokiem na stroskaną twarz pana Ignacego.

— Padam do nóg jaśnie wielmożnego...

— Głupiś! — zawołał pan Ignacy zniecierpliwiony — lepiejbyś nie padał do nóg, a coś poradził.

— Aj waj! ja od rady nie uciekam.

— Lub pomógł!... A pewien jestem, że już wiesz, co się ma tu stać za dni parę.

— Coś to ja słyszał!... ale co ja na to pomódz mogę?

— Wy zawsze wiecie, gdzie dostać pieniędzy.

— Ny! my wiemy, ale jakiego hypoteka?

— Więc czegoż mnie nudzisz i po co przyjechałeś tu do mnie?

Żyd popatrzył z pod oka na pana Ignacego, lypnął oczyma i, zbliżywszy się do niego, rzekł:

— Jaby miał pieniędzy!

— Gdzie? — zawołał hrabia z rozpaczą tonącego, któremu i brzytwą zdaje się być ratunkiem.

— Jaby wiedział, gdzie znaleźć, żeby tylko była odwaga...

— Jaka odwaga? Nie rozumiem...

— Ja jaśnie panu już podobno opowiadał, że Wicewicz ma grube pieniądze...

— I cóż z tego? — zapytał pan Ignacy, strzygąc uszyna.

— I że wun myśli je zakopywać...

— Więc?

— Już wun zakopywał.

— I cóż mnie do tego? Co to może mi pomódz?

— I ja wiem, gdzie zakopywał...

— Wiesz? — zawołał pan Ignacy, podnosząc głos. — To odkopiesz — dodał ciszej i niby od niechcenia, niby pogardliwie.

— Kiedy ja się boję!...

— Na to ja nie poradzę, mój panie Srułu — mówił pan Ignacy, śmiejąc się półgębkiem. — I dlaczegoż ty się boisz?

— Bo to miejsce straszne, gdzie on zakopywał.

— Miejsce straszne znowu! Ty jesteś doskonały, Srułu! Alboż to miejsce może być straszne?

— A pasieka!...

— Pasieka? — przemówił pan Ignacy nagle i pobladł.

— Pasieka Wicewicza... tam pod monasterem, gdzie, jak mówią, dyabli wzięli jakiegoś pana, co tam miał zamek.

— Nie pana!... to Żyda z karczmy porwali! — mówił pan Wyżyński żartem niby, a głos jego drżał widocznie.

Nastąpiła chwila milczenia. Obaj popatrzyli na się

z uwagą. Ale pan Ignacy zaraz się odwrócił ku stolikowi, jakgdyby szukał jakich papierów.

— Więc się boisz, mój Srułu? — ozwał się pierwszy, widząc, że Sruł uporeczywie milczy.

— I nie wiem, w którym miejscu, bo pasieka jest obszerna.

— A tak!...

— I sam w nocy, to jakoś bardzo straszno... Ot tak, proszę jasnego pana, żeby z kim drugim...

— Ale cóż mnie to obchodzi? — mówił pan Ignacy z wzrastającą niecierpliwością.

— Ja sobie tak myślał, że gdyby tak kto bardzo gwałtownie potrzebował pieniędzy... to... to...

— Kończ, panie Srułu.

— To... tobyśmy razem mogli pójść w nocy... i...

— Skończ już raz.

— I... uważa jasny pan... podzielić się...

— No proszę! Ale z kim?

— Z kim?... Nu, jasny pan się nie domyśla?

— Nie jestem bardzo domyślny.

— Nu! jasny pan tylko co mówił, że tak bardzo potrzebujący jesteś...

— Słuchaj-no, Żydzie! — zawołał namiętnie pan Ignacy, przybierając postawę dumną, obrażoną i rozgniewaną. — Nie chcę się domyślać, bo nie chcę nic mieć z tobą do czynienia. Ale przypominam ci, że jeszcze mam ludzi, którzy cię za uszy wyprowadzą z mego domu...

— Jakto? jasny pan nie chce? — przemówił znowu Żyd, wpatrując się w pana Ignacego wzrokiem napół zadziwionym, napół niedowierzającym.

— O, tego nadto! — wykrzyknął pan Ignacy, tupiąc nogą i przyskakując do Sruła z taką zapalczywością, że

się ten aż cofnął ku drzwiom. Oburzenie to, prawdziwe czy udane, po mistrzowsku było oddane.

— A teraz precz, pókiś cały, bo nie ręczę za siebie!

— Ale jasny panie, tam musi być z jakich kilkakroć.

— Idź precz, mówię ci!... Ty śmiesz mi mówić i proponować rzeczy...

To rzekłszy, podniósł rękę do dzwonka z wyrazem tak groźnym, że Żyd, naprawdę przestraszony, umknął i co prędzej drzwi za sobą zatrzasnął.

Pan Wyżyński po wyjściu Żyda uspokoił się w jednej chwili. Czas jakiś patrzył ku drzwiom, jakgdyby śledził kroki uciekającego. Potem obrócił się zwolna i kilka razy potarł czoło, jakby głębokiemu oddany dumaniu.

Żyd tymczasem szybkim krokiem śpieszył do swojej bryczki i ciągle się oglądał, czy go kto nie goni od dworu. Gdy już jedną nogą był na bryczce, uderzył się nagle po głowie.

— Aj waj! ja podobno głupstwo zrobił — mówił sam do siebie. — A jak wun sam spróbuje?... Do Wiciewicza jechać? Nu, ten sknera nie nie da za przestrzeżenie. Samemu iść tam?... Gwałt! ja się boję. A więc... achesmir, już go mam, już wiem... Ja pójdę do Wasyla! Ten znajdzie sposób, a jak przyrzeknie, to pewnie dotrzyma i nie zdradzi mnie.

Po tym monologu wskoczył do bryczki i, zacinając biczkiem kulawego konia, pędził o ile mógł najprędzej w stronę pasieki Wiciewicza i góry z monasterem.

Tego samego dnia wieczorem w pokoju samej pani Wyżyńskiej siedział major z bratową. Pani Wyżyńska cały dzień była cierpiąca i nigdzie nie wychodziła z pokoju swego. Pod wieczór zaprosiła do siebie męża i brata na herbatę. Mąż odpowiedział, że jest zajęty, a major,

który cały dzień biegał jak nie swój i, pełen niespokojności o zdrowie bratowej, co chwilę o nie kazał zapytywać, przybiegł na pierwsze wezwanie. Ciemno było już w pokoju, chociaż zupełny na dworze nie zapadł jeszcze zmrok, bo story były pozapuszczane i pozamykane okiennice. Lampa, na uboczu stojąca, ledwie oświeślała pokój, w którego najciemniejszym kącie siedziała pani Wyżyńska z głową na bok zwróconą, jakgdyby nie chciała, by ją widział wchodzący major. I tak to rozumiał pan Stanisław, który, przeciwnie, chciałby koniecznie ją widzieć, aby stąd poznać stan zdrowia i usposobienie bratowej, dla której, jak wiemy, żywił niemałe uczucie. Zbliżał się nawet w tym celu ku lampie, chcąc ją zwrócić ku siedzącej.

— Światło mnie razi — ozwała się do niego hrabina.

Po kilku słowach obojętnych rozmowa się utrwala, i długie nastalo milczenie, przerywane tylko przytłumionemi westchnieniami pani Wyżyńskiej, którym major wtórował mimowolnie.

— Bratowa jesteś cierpiąca — przerwał wreszcie major milczenie. — Może chcesz już odpocząć?

— Nie jestem już cierpiąca. Itwoje towarzystwo, kochany bracie, sprawia mi wielką przyjemność.

— A przecież smutek twój, kochana bratowo, przeczy temu, co mówisz.

— Smutek jest mi już od dawna nieodstępnym towarzyszem, i już się z nim do śmierci podobno nie rozstane.

Głos mówiącej był tak żaloszny i smutny, że major, mimo swojej męskiej siły i energii, zadrżał cały i zerwał się z miejsca.

— To się nie godzi! — zawołał napół z wyrzutem,

napół z błaganiem. — Wszakże Eugeniusz nie małe dziecko, by tak dał się porwać bez oporu i zginąć bez wieści.

— Nie małe dziecko! A przecież oł małego dziecka przeczuwałam stratę jego.

— Na miłość Boga, bratowo!... dajże pokój z temi przeczuciami... A jeżeli już koniecznie chcesz wierzyć w przeczucia, to wierz w moje, które mi mówią, że lada chwila będziemy mieli wiadomość o nim, jeżeli nie jego samego.

— Ty, bracie, nie wiesz wszystkiego i pojąć nie możesz, jak mi jasno przed oczyma stoją przyczyny i skutki, ściśle z sobą połączone.

— Nie wiem wszystkiego, to być może! ale przecież nie rozumiem....

— To, co się stało, to, co przeczuwałam, w snach moich widziałam, czego się ciągle obawiałam, to się ściśle łączy ze zdarzeniem, tobie, bracie, nieznanem.

— I którego wiedzieć nie mogę?

— Nie, mój bracie, ty wiesz, że ufam ci w zupełności, a jeżeli dotąd nigdy o tem zdarzeniu nie mówiłam, to głównie dlatego, że tajemnica nie do mnie samej należała, i nareszcie sam najlepiej zrozumiesz, dlaczego nie mówić nie chciałam, gdy się dowiesz...

— Wierzę... i szczerze powiadam, że wiedzieć nie chcę, jeżeli to ma być tajemnica.

— I owszem, mnie to dawno ciążyło na sercu, i dziś czas, bym wszystko powiedziała. Słuchaj, kochany majorze: Jeżeli dotąd milczała, to dlatego, że się to dotyczyło twego brata.

— I pewno nie jest to nic takiego, coby mu zaszczyt przynosić mogło.

— Posłuchaj. Znasz, bracie, tak zwanego króla dziadów, o którego z takim zajęciem pytał się Eugeniusz.

— Król dziadów! — zawołał zdziwiony major. — A gdy się Eugeniusz pytał, widziałem szczególne pomieszczenie na twarzy Ignacego i...

— 'I na mojej... Tak jest... Ten król dziadów jest człowiekiem niezwykłych zdolności, mimo stanu niskiego, w jakim się urodził. Według wszelkiego nawet prawdopodobieństwa on tylko udaje ślepego, bo każdy król dziadów ślepym być musi, i ta ślepotą daje mu nadzwyczajną władzę nad jego podwładnymi. Ojciec mego męża lubił go bardzo, bo, jak się zdaje, w sercu jego pod torbą żebracza było wiele uczuć szlachetnych dla bliźnich i dla kraju. I król dziadów miał szczególne przywiązanie do starego kasztelana, czego dowody dawał mu za życia, ochraniając jego majątności od chmury żebraków, a po śmierci widziano go, słyszę, jak na czele swoich podwładnych szedł za trumną nieboszczyka, szczerze łzy wylewając. A gdy mąż mój w lat kilka wrócił do siebie, król dziadów odwiedził go, chcąc, jak mówił, choć dotknąć się jego twarzy, aby poznać młodzieńcem tego, którego widział dzieckiem. A przytem przyrzekł mężowi memu opiekę i w końcu zapytał, czy nie może mu w czem pomódz. Ignacy przyjął go nienajlepiej, lecz nie wzgardził propozycją pomocy, a idąc za radą Sruła, który mu powiedział, że wieść chodzi, jakoby król dziadów miał znaczną gotówkę, pochodzącą z żebraniny jego podwładnych, i będąc zawsze w potrzebie, zawsze uganiając się za pożyczkami, nie wahał się zwrócić do Wasyla z prośbą o udzielenie mu tego wspólnego wszystkich żebraków funduszu.

— Ha, to okropne! Nie wstydził się!

— Nie znam dobrze szczegółów, albo raczej nie wiem, czy, jak je później słyszałam, wszystkie są prawdziwe. Daj Boże, by choć w części były przesadzone. Bo aż przykro pomyśleć, by się mógł kto tak dalece poniżyć, jak...

— Jak mój braciszek! Dla marnotrawcy, byle tylko nowych dostał pieniędzy, nie istnieją żadne skrupuły.

— Miało więc tak być, że król dziadów zaprowadził go do jakiejś starej piwnicy, gdzieś tam w pasiece koło góry z monasterem, i tam mu tajemnie z owej kasy pożyczył pewną znaczną kwotę, która ledwie czwartą część całej kasy stanowiła. I pożyczył mu bez kwitka, na proste przyrzeczenie. W kilka czy kilkanaście dni później... Lecz prawdziwie nie wiem, czy mam kończyć...

— Mów, bratowo. Ja jestem przygotowany do najgorszych rzeczy.

— Przychodzi więc król dziadów do swojej schówki w owej piwnicy, ale już ani śladu nie zastał pieniędzy. Łatwo pojmiesz, bracie, na kogo musiał mieć podejrzenie, bo, jak twierdził, nikomu nigdy tajemnicy swej schówki nie odkrył.

— Tylko Ignacemu.

— Dosyć, że król dziadów przychodził do Ignacego upominać się. Ten nie tylko, że go wylażał i zagroził sądem za owo podejrzenie, ale zaparł się nawet pożyczonych pieniędzy. Król dziadów, nie posiadając żadnego dowodu, musiał zamilknąć, chociaż miał podobno wiele nieprzyjemności z swoimi podwładnymi. Ale zaprzysiął mu zemstę. Słuchaj, bracie: zaprzysiął mu zemstę!

— To jest okropne! ale jakaż to miała być zemsta?

— Jaka? Alboż ja wiem? I właśnie dlatego nigdy chwili spokoju nie miałam. Bo żeby się zemścił, jak się



— Ha, to okropne! Nie wstydził się!

zwykle mszcza żebracy, podpaleniem, kradzieżą! Nie! tyle lat minęło, i dotąd nic złego nas od nich nie spotkało. Nigdy śladu podpalenia. A przecież co roku prawie pojawia się żebrak, który przy każdej sposobności przychodził od króla dziadów z przypomnieniem mściwej obietnicy. I wyobraź sobie, mój bracie, od czasu urodzenia Eugeniusza poselstwo to złowrogie ustalo zupełnie.

— Znudziło go zapewne posyłanie próżnych pogroźek.

— Ty go nie znasz, bracie! W tym człowieku, pomimo starości, jest niesłychana jeszcze energia!

— I skądże bratowa zna tak dobrze te wszystkie szczegóły? Bo, jak się zdaje, wszystko to bardzo dawno się stało.

— Zaraz opowiem. Tu właśnie muszę dotknąć tajemnych jakichś przeczuć i snów, które dziwnie kojarzą się z zapowiedzianą zemstą króla dziadów.

Ty, bracie, właśnie gdzieś wyjechałeś, a mąż mój w jakimś interesie oddalił się, gdy urodził się Eugeniusz. Byłam sama jedną. Nic jeszcze wówczas nie wiedziałam, i jeżeli nie czułam się zupełnie szczęśliwą, miałam przynajmniej tę pociechę, że z błogiem uczuciem mogłam patrzeć na to małe stworzenie, które miało być odtąd jedyną moją radością. Szukano mamki. Wówczas to przychodzi do mnie kobieta młoda, nadzwyczajnej, niezwyczajnej nawet urody, odziana skromnie, a nawet ubogo. Powierzchność jej bardzo mi się podobała. To było dla mnie wystarczające. Nie zasięgając więc niczyjej rady, przyjąłem tę kobietę i powierzyłam jej syna. To była szczególnie fatalność!

— Fatalność?

— Tak, kobieta owa była wnuczką króla dziadów, ostatnią wnuczką, która mu pozostała po licznej niegdyś rodzinie. Ona to opowiedziała mi całe zajście, jakie jej dziad miał z moim mężem.

— Może kłamała? — zawołał pocziwy major z wybuchem radosnej nadziei.

— Daj Boże! — odrzekła pani Wyżyńska z cichym westchnieniem.

— Ale po tem właśnie opowiedzeniu nie należało już trzymać tej mamki.

— Ja też powtarzam, że była w tem fatalność. Jej opowiadanie przeraziło mnie okropnie i to tem więcej, że całe jej zachowanie się miało wyraz uderzającej wyższości duchowej, a każde jej słowo, każdy ruch cechowała szczerość. Z drżeniem słuchała jej opowiadania, trwogą napępiał mnie widok jej ciemnych oczu, miotających ognie oburzenia, gdy opowiadała krzywdę swego dziadka, a jednak czułam jakiś dziwny do niej pociąg i... zdało mi się, że, trzymając ją w domu, prześlągam zemstę zaprzysiężoną.

— I, jak się zdaje, udało się to bratowej, bo nic się dotąd z tej zemsty nie wyklulo.

— A zniknięcie Eugeniusza?

— Miałożby ono być skutkiem tej zemsty, tak długo odwlekanej?

— Jest jakiś tajemniczy związek między temi zdarzeniami. O tem jestem przekonana. Jaki? Bóg to jeden wie. Lecz słuchaj, bracie, dalej. To, co mam jeszcze opowiedzieć, wyda ci się śmiesznem i nic nie znaczącem, bo u was mężczyzn, przyzwyczajonych do życia czynnego, najmniejszego znaczenia nie ma... sen blahy.

— Sen! mój Boże! A więc jeden sen niepokoi cię, kochana bratowo, od tak dawna?

— Ale jaki sen! Posłuchaj go. Było to zaraz w pare dni po przyjęciu mamki. Byłam bardzo osłabiona, zwłaszcza nerwy moje były do najwyższego stopnia rozdrażnione. Najmniejszy stuk przerażał mnie, i pamiętam, jakby to dziś było, jakie na mnie wrażenie sprawiała huczająca na dworze i w ogrodzie burza jesienna, której głuchy odgłos dochodził do mnie mimo szczelnie pozasłanianych okien. Wskutek tej burzy i mego usposobienia, sen mój był nadzwyczaj niespokojny. Jakieś dziwne z początku przesuwwały się przede mną we śnie postacie, nie mające jedna z drugą nic wspólnego. Aż nareszcie zdało mi się, że widzę przed sobą króla dziadów z twarzą gniewną i groźną.

Nadaremnie chciałam uciec lub schować gdzie oczy, aby go nie widzieć: wszędzie mnie dopędził, wszędzie go widziałam, pełna niewypowiedzianej trwogi. A największem dla mnie udręczeniem było to, że w tej ucieczce oglądać się musiałam za dzieckiem, które na rękę mamki okropnie płakało i rozpaczliwie wyciągało ku mnie swe drobne rączki. Nagle zdało mi się, że się znalazłam w jakiejś piwnicy, z której żadnego już nie było wyjścia. Nadaremnie tłukłam głową i rękoma o ściany: wszędzie napotykałam twardy mur. Chciałam wziąć dziecko z rąk mamki, lecz ona odwracała się ode mnie i palcem groźnie wskazywała króla dziadów, który coraz zawzięciej patrzył na mnie i na biedną moją dziecinę. Aż wreszcie stanął przede mną, wyciągnął ogromną rękę i porwał nią mego synka. Struga krwi spłynęła wzdłuż piwnicy, dziecko krzyknęło przeraźliwie. Wtem wszystko znikło, a jam się zbudziła. Zimny pot mnie oblał, trzęsłam

się cała, jak w febrze, i już wtenczas pewnie nie spałam. Nagle zdało mi się, że ten sam krzyk dziecięcy słyszę wyraźnie, jak dochodzi mnie z ogrodu, mimo wichury szarpającej suche drzew konary, które z głuchym łoskotem wzajemnie waliły o siebie.

Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do sąsiedniego pokoju, gdzie sypiała mamka i dziecko w kołysce. W tej chwili mamka kładła dziecko do kołyski i sama — wyraźnie to dostrzegłam — miała łzy w oczach. Jeszcze nawpół w gorączce porwałam dziecko na ręce, przycisnęłam je do łona, oglądając się ciągle, czy mi kto go nie porwie. I oto w chwili, gdy dziecko przyciskałam do trwoźnie bijącego serca, dziwnego jakiegoś doznałam uczucia. Był to jakiś przemijający ból, jakby coś ostrego i zimnego przeszło mi serce, czy też jakieś przeczucie złowrogie, tyczące się dziecka. Mnie się w tej chwili wydało, jak gdybym coś już nie mojego tuliła do piersi, coś, czem się długo cieszyć nie będę. Od tego czasu nie mogłam uwolnić się od tej okrutnej myśli, że mój syn prędzej czy później padnie ofiarą słusznej, ale okropnej zemsty króla dziadów. Po tym śnie i wzruszeniu wpadłam w okropną gorączkę, której omal życiem nie przypłaciłam. Gdym ozdrowiała, pierwszą myślą moją było przypomnienie owego strasznego snu.

— Strasznego! nie zaprzeczam... ale zawsze snu tylko.

— Masz słusność, bracie, tam w głowie, ale wierz mi, że ja mam słusność tu, w sercu mojem.

I blade, zadumane czoło oparła na ręce. Oboje milczeli. Ona była nadto wzruszona, by mogła przyjąć znów do słowa. I jego mimowoli opowiadanie to wzru-

szyło, jakkolwiek fantastyczność szczegółów nie mogła trafić do praktycznej głowy starego żołnierza.

Nagle milczenie zostało przerwane szybkimi krokami, które dały się słyszeć w drugim pokoju. Oboje, tak nagle zbudzeni z zadumania, zadrżeli, i zwrócili zdumione i ciekawe oczy ku drzwiom wchodowym.

Na progu stanął stary sługa majora, który z nim odbywał wszystkie wyprawy wojenne. Był to prawdziwy typ sługi wojskowego. Wysoki, sztywny, wypreżony, miał długie i śpiczaste wąsy, codziennie woskowane i szwarcowane naieźycie. Na twarzy wryta była ościeżność, obok wyrazu pewnej sztywności i niezłomnego dla pana posłuszeństwa.

— Co powiesz, Marcinie? — zawołał major z rodzajem niechęci, nie lubił bowiem, żeby go sługa bez rozkazu szukał.

Marcin póty nie odpowiedział, póki nie ustawił się w pozycję służbowej, jaką uważał za właściwą wobec majora, a co więcej wobec pani domu, dla której równie jak i dla całej płci pięknej wielkie miał uszanowanie.

— Proszę pana majora, przyszedł tu jakiś chłopak i przyniósł list. Ledwie mi go wsadził w rękę, a ja go się zacząłem wypytować: gdzie? po co? i skąd? — już i znikł, ale tak, proszę pana majora, jak ten Francuz we Włoszech, co to nam pokazywał sztuki.

— Dobrze. Ale cóż z tym listem?

— A co najdziwniejsza — mówił Marcin dalej, bo już to, gdy zaczął opowiadać, żadna siła ludzka nie zdołała powstrzymać potoku jego słów — to było to, że chłopak ten wyglądał mi na żebraka.

— Na żebraka! — zawołali major i pani Wyżyńska.

— Tak niby podobny był do żebraka i ze stroju

i z twarzy, która niebardzo była obiecująca. A choć go nigdy w życiu przedtem nie widziałem, na co mógłbym przysiądz, on odrazu przemówił do mnie, jak do znajomego, i to znacznie grzeczniej, niż się spodziewałem po jego twarzy i odzieniu.

— Marcinie, kończ już do stu... — zakrzyknął major, którego główną cnotą wcale nie była cierpliwość, z Marcinem nieraz na ciężkie wystawiana próby.

— Zaraz, panie majorze!... Powiedział mi tedy: Panie Marcinie, oddajcie ten list waszemu panu majorowi. Skąd ten chłopak mógł wiedzieć o moim imieniu?

— Gdzież ten list, nudziarzu? — zawołał major i zerwał się z krzesła.

— Zaraz, panie majorze! List jest u mnie, ale ten chłopiec tak się wymknął, iż...

— Mój Marcinie, dawaj list co prędzej! — przemówiła sama pani Wyżyńska.

Na dźwięk jej słodkiego głosu rozmarszczyło się czoło starego wojaka, i nawet rodzaj uśmiechu ozdobił suche jego usta.

— A jest list, proszę wielmożnej pani — odrzekł Marcin i wydobył nareszcie z zanadru list jakiś, skreślony na grubym papierze.

Major porwał za list i ledwie rzucił nań okiem, zawołał radośnie:

— Od Eugeniusza!

Usłyszawszy to, matka słowa wyrzec nie mogła, złożyła tylko ręce i oczy wzniosła ku niebu, jakby chciała naprzód modlitwą Bogu podziękować za to szczęście niespodziewane.

— Ja zaraz tak myślałem — ozwał się Marcin — i dlatego aż tu przyszedłem.

— Żyje?... zdrow? — zawołała wreszcie matka, odzyskując głos.

— Zdrow, jak ryba — odrzekł major, składając list — ale oczywiście oszalał.

Marcin tymczasem, jako rozumny sługa, nie chcąc słuchać pańskich sekretów, oddawszy pokłon wojskowy, wyszedł z pokoju.

— Cóż się z nim dzieje? — wołała dalej matka z niepokojem.

— Wyraźnie oszalał! Zakochał się po uszy.

— W kim? — pytała matka i odetchnęła, bo cóż dla niej strasznego być mogło w zakochaniu się syna.

— W Goździkiewiczównie!... Waryat prawdziwy.

— Dlaczego?... Hania śliczna, poczciwa dziewczyna i wcale dobrze ma w głowie.

— Ale ekonomówna!

— Byleby był z nią szczęśliwy...

— No! no!... już ja zrobię porządek z tym jego romantyzmem, do którego wy, moje panie, macie także słabość. Ale wypisuje mi tu na końcu jakąś historię o zakopanym przez tego sknerę Wiciewicza skarbie, który jest w niebezpieczeństwie, bo już o nim wiedzą żebracy i ten ich król.

— Król dziadów! — zawołała matka z przerażeniem. — Czy zawsze stawać będzie na drodze naszego życia? Boże mój, ratuj mnie od niego!

— Uspokój się, kochana bratowo. Jeszcze nie możesz przyjść do siebie po wzruszeniu. Eugeniusz żyje i nie mu się nie stanie. Ja sam zaraz tam jadę do niego, pomówię z nim rozsądnie, a z królem dziadów, jeżeli go tam gdzie zdybie na mojej drodze, także dam sobie ra-

dę... A co do tego głupiego skarbu, trzeba dać znać Wiciewiczowi, niech tam go sobie nazad wykopie.

— Drogi bracie! tylko Eugeniusza przywieź co prędzej... I na to wszystko przystań... jeżeli mi kiedykolwiek co dobrego życzysz... Czy myślisz, że małżeństwo bez miłości przynosi szczęście?

— Eugeniusz! — odrzekł major półgłosem i zarumienił się, jak młode dziewczę. — A wreszcie — dodał — Goździkiewicz jest szlachcic, a co więcej pocciwy człowiek... o, nasz! Ha! niech się dzieje wola Boża.

— Już, już! już, bracie!... ale trzebaby donieść Ignacemu o tej wesołej wieści...

— Masz pani bratowa słuszość. Zapomniałem o tem, a to przecie ojciec.

— Chodźmy — rzekła pani Wyżyńska.

I weszli oboje do znajomej już nam kancelaryi pana Ignacego. Lecz go tam nie zastali. Służący jego, zapytany, powiedział, że już parę godzin temu, jak wkrótce po rozmowie z Srulem wyszedł gdzieś... Dokąd się udał, nikt nie wiedział.

Oboje, brat i żona, popatrzyli na siebie zdziwieni, bo wiedzieli z doświadczenia, że pan Ignacy zupełnie nie był amatorem pieszych przechadzek. W pokoju wszystko tak zostało, jak przed jego wyjściem. Na stole leżały papiery sądowe i list od pełnomocnika, zwiastujący mu, jak wiemy, zupełną ruinę majątkową. Napół z roztargnieniem, napół nerwowo przeglądał major złowieszcze papiery, i po raz pierwszy zadrżało mu w sercu uczucie dziwnego jakiegoś zaniepokojenia. Mimowolnie spojrział na ścianę, gdzie dla parady raczej, niż dla potrzeby lub gustu samego pana Ignacego, wisiały dwie czy trzy pary pistoletów. I od razu uderzyło go, że jednego

brakuje. Nie dał wprawdzie poznać tego po sobie, ale złowrogie przecucie ścisnęło mu serce.

— Dokąd on mógł pójść? — rzuciła pytanie pani Wyżyńska głosem zmienionym. Bo i ją, choć nie wiedziała czemu, mimowolna przejęła trwoga.

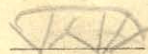
— Chciał się przejść i wkrótce wróci zapewne. Niech bratowa idzie do siebie i położy się. Ja jadę zaraz.

— Idę modlić się.

— I to nie zawadzi — mruknął stary major do siebie, odchodząc. — Dziwna rzecz! — myślał dalej, siadając na ulubionego karosza — nigdy jeszcze takiego nie doświadczałem uczucia... nawet gdy na armaty szedłem. Cóż u dyabła, czy już ze mnie taka baba na starość się zrobiła?

I spał konia ostrogami. Za nim jechał Marcin z miłą poważną, trzymając konia zapasowego, owego znanego nam karosza, przygotowanego dla Eugeniusza.

Przed odjazdem pan Stanisław wysłał posłańca do Wiciewicza, donosząc mu w krótkich słowach, co usłyszał o zakopanym przez niego skarbie.



VII.

Skarb zakopany.

Śliczny był wieczór, prawdziwie letni, prawdziwie czerwcowy. Droga cała od Wyżyniec ku monasterowi i rzece, wiodąca wzdłuż wysoką trawą porosłych błoni i łęgów, karłowatymi krzakami pokrytych, przy oświetleniu księżyca, odbijającego od rzesistej rosy, wyglądała jakby zaslana iskrzącymi brylancikami, do których co chwila z krzaków i drzew przybywały świętojańskie robaczki, niby latające iskry dyamentowe. Urok wieczora podnosiła woń, która zewsząd, z drzew i kwiatów, z krzewów i trawy, z siana tu i owdzie skoszonego, z dalszych pól, zbożem zasianych, szła i unosiła się w powietrzu, łącząc cudny krajobraz i pogodne niebo w czarującą całość, z którą cudownie harmonizowała ta cisza wieczorna, z rzadką przerywana owymi, coraz bardziej cichnącymi głosami, które poprzedzają zupełne uśpienie natury.

Wieczorny ten krajobraz, tchnący sielskim spokojem i urokiem, zmieniał się, jak już wiemy, im bardziej drogi z Wyżyniec i Niżyniec zbliżały się do wznoszącej się w oddali góry, niknącej do połowy w fantastycznym mgły

wieczornej płaszczy. Coraz gęstsze i ciemniejsze zarośla dodawały tam całemu krajobrazowi nowego powabu tajemniczości, wylaniającej się z cienistych zakątków.

Było coraz ciszej i spokojniej. Żaden wietrzyk nie macił spokoju natury i najsilniej nateżone ucho nie usłyszałoby ani ludzkiego, ani zwierzęcego kroku. Nagle zaszeleściło w jednym z gęstych krzaków nadbrzeżnych; zadrżały liście, jakby nagłego wiatru muśnięte powiewem, i zwolna, ostrożnie wyłonił się z gęstwiny jakiś człowiek. Naprzód zabłysły badawcze, jakby śledzące oczy, a za nimi posuwała się pomału pomiędzy krzakami ciemna postać. Musiał to być wędrowiec nienawykły do takich nocnych wycieczek, a widocznie ważne jakieś przyczyny kazały mu się tać, bo za każdym niemal krokiem zatrzymywał się i z nieufnością przypatrywał każdemu cieniowi, z trwogą przysłuchując się najniewinniejszym głosom, jakie go dochodziły bądź z futorków dalekich, bądź z pastwisk, zapelniających się chłopcami, wiodącymi konie na nocną paszę.

Zbliżył się nareszcie wędrowiec do ostatnich krzaków nadbrzeżnych, od których należało przejść przez miejsce otwarte, blaskiem księżyca, jakby w dzień, oświetlone, aby stanąć przy znanym nam już krzyżu i przy pasiece, do której samotny zdawał się dążyć.

Zawahał się chwilę i ostrożnie wyciągnął szyję. Lecz było tak cicho i spokojnie wokół, jakby cała okolica snem wiecznym usnęła. Więc ostrożnym krokiem, zgarbiwszy się, jakby się chciał ukryć w cieniu bujnej trawy, przeszedł to miejsce tak jasne, że ktokolwiekby stał wówczas czy przy figurze, czy na znanej płycie kamiennej, albo nawet ukryty w cieniu rosnących na górze drzew, musiałby poznać wchodzącego tak ukradkiem do pasieki.

Lecz zapewne nikt go nie widział, bo żaden znak życia ogólnej nie przerwał ciszy. Tylko w pobliżu płyty, w jednym z krzaków zadrżały liście i zabłysły, odbijając promienie księżycowe, ale tak lekko, że to chyba zbudzona ze snu niespokojnego ptaszyna poruszyła się na swej gałęzi i zaraz zasnęła.

Wędrowiec, odważniejszy w cieniu drzew pasieki, szybszym krokiem przebiegł jej przestrzeń i zbliżył się do jednego rogu, który wyglądał, jak stara mogiła, zarosła zielskiem i krzakami.

Stanął znowu i pomału dobył z pod ciemnej szaty dwa przedmioty, które nieco się zaśniły. Była to rurka pistoletu i blacha malej latarki. Trzymając oba te przedmioty w rękę, zaczął pomału przechadzać się wokół owej mogiły, odchylając wolną ręką bujne zielska i krzewy, jakby tam czego szukał. Po kilku chwilach szukania znalazł, bo się zatrzymał, zgiął i nagle zniknął, jakby się w ziemię zapadł.

I znowu coś zabłysło i zaszeleściło; przez krótką chwilę zamigotało jakieś światełko niby, może robaczek świętojański, i znowu było cicho i ciemno dokoła zaroślej mogiły.

Zanim się dowiemy, po co tu przyszedł ten tajemniczy wędrowiec, i co się z nim stało, przeniesmy się na chwilę do chaty starego króla dziadów.

Wasył siedział na zwykłym swoim miejscu przy stole i ze zwykłym spokojem i powagą spoglądał przed siebie.

Przed nim stał Sruł Feigele, w postawie daleko skromniejszej i potulniejszej, aniżeliśmy go widzieli przed parą godzinami w Wyżyncach. Bo Żyd, jakkolwiek bogaty, a właśnie może dlatego, że bogaty, ogromnym był tchórzem i jednego Wasyla bał się w całej okolicy. Dla

czego się bał, nie umiałby nikomu wytłumaczyć, ale zwyczajnie, jak u nas Żyd, choćby najbogatszy, mało wykształcony, wygórowane miał wyobrażenie o władzy przyrodzonej i nadprzyrodzonej króla dziadów. Przybył on do niego dopiero przed godziną, bo jego nędzny konik włókł się nieznośnie, i skoreciło go jeszcze wstąpić na bok do karczemki, trzymanej przez zięcia, z którym miał rozmaite rachunki.

Nie wiele było rozmowy z starym Wasylem, który, jako prawdziwy wieśniak ruski, to tylko rozumiał i słyszał, co chciał zrozumieć i usłyszeć. Cała zaś przemowa żydowska od samego początku nie przypadła do smaku staremu, który prócz tego dzisiaj właśnie dziwnie jakoś był niespokojny i rozdrażniony. Jak to się często trafia wśród ludu prostego, u tych, którzy pewną władzę, niby nadprzyrodzoną, mają nad drugimi, że w końcu sami w nią uwierzą, i lada wewnętrzny niepokój uważają za jakieś natchnienie, za głos nadprzyrodzony, tak i stary Wasyl pomalu przyszedł do tego niezłomnego przekonania, że przeczuwa i przewiduje rzeczy, dla innych niedosiężne, każdy więc swój niepokój, każde staremu jego wiekowi a silnym pomimo to namiętnościom właściwe rozdrażnienie, uważał za ów głos wewnętrzny, przeczuć jakimś ważnego zdarzenia przemawiający.

I dziś co chwila zdało mu się, że ważna zajdzie zmiana w jego życiu. Czy smutna czy wesółą, nadaremnie biedził się przewidzieć; ale każdy ruch za chatą, każdy głos nieco donośniejszy był dla niego zwiastunem tej ważnej, co krok już bliższej a stanowczej chwili. Łatwo pojąć, że przybycie Sruła w takiej chwili było dla niego bardzo nieprzyjemne, odrywając od samotnego rozpamiętywania, którem starzec przygotowywał się niejako do

owej stanowczej zmiany. A może i przedmiot, poruszony przez Żyda w rozmowie, miał coś w sobie takiego, co nie leżało w zakresie myśli i planów Wasyla.

— Albo on głupi zakopywać! — rzekł po chwili milczenia król dziadów. — Cóż się wam uroiło, mój Srułku?

— Ja pewny jestem... i jeżelibyście chcieli... mogliśmy razem...

— Ot pleciecie, arendarzu!... Ja stary już, do niczego, i o niczem wiedzieć nie chcę...

Żyd się wpatrywał w niego, bo to ciągle zaprzeczanie zaczynało naprowadzać podejrzliwego zawsze Żyda na różne myśli.

— Jak chcecie! — ozwał się znowu.

— I dziś nie dzień do odkopywania skarbów...

— Dlaczego dziś nie dzień? — zapytał zaciekawiony i przestraszony nieco Żyd.

— Co ty rozumiesz, niewierny Żydzie? — ofuknął go król dziadów. — Ktoby dziś chciał skarb wykopywać, tegoby spotkało największe nieszczęście.

Ledwie ostatnie wymówił słowo, gdy dało się słyszeć szybkie stąpanie bosych nóg, drzwi się otworzyły, i wbiegł przez nie zadyszany Semen z twarzą, zapowiadającą coś nadzwyczajnego.

— Ktoś zakradł się do pasieki! — wyrzekł szybko.

Tego szelestu listków w ciemnym krzaku niedaleko od płyty kamiennej był sprawcą Semen, który po całych dniach, wieczorach i nocach bacznie nie spuszczał oka z miejsca, gdzie miał być skarb zakopany, którego pilnując niby dla króla dziadów, pilnował właściwie dla swego ulubionego panicza.

— To on! — zawołał Żyd. — Ja to przeczuwał.

— To on! — powtórzył Semen — poznałem go z daleka.

— On! — krzyknął król dziadów i zerwał się z miejsca swego, jakgdyby mu pół wieku naraz ubyło. — Tyś, Żydzie, jemu powiedział?

— Ja tak... jemu coś bąknął...

— Nie ty, Żydzie, ale Ten, co nami wszystkimi włada!... Ten, co mi w dzień i w nocy powtarzał ciągle: „Przyjdzie, Wasylu, twój dzień“. I przyszedł!... Chodźcie za mną...

To rzekłszy, poszedł tak prosto i żwawo ku drzwiom, a oczy takim zabłysły mu blaskiem, jakgdyby nie był ślepym.

— Gdzie jest góral? — spytał król dziadów już we drzwiach — śpi już na strychu?

— Nie wiem.

— To źle! Powinienbyś wiedzieć!... Boże! — dodał ciszej, i podniósł oczy i twarz do góry.

Twarz i oczy miały dziwnie szlachetny i energiczny wyraz.

Wyszli z chaty, Wasyl i Semen na przedzie, Żyd z tyłu, trzęsąc się już ze strachu i przeklinając swoje niepotrzebne wdanie się w tę sprawę.

A gdy za pierwszą znikli skałą, z chaty wyszedł jeszcze czwarty i poszedł zdala za nimi. Był to Eugeniusz, zawsze w stroju góralskim. On nie spał, bo czekał na odpowiedź majora. Zasiłyszawszy kilka słów z nadto głośnej rozmowy, zmiarkował, że chodzi tu może o ów skarb, o którym mimowolnie się dowiedział.

Zdało się mu więc, że obowiązkiem jego jest czuwać nad nim aż do przyjazdu majora, którego się spodziewał i serdecznie wyglądał.

Wracajmy teraz do nieznanego, który tam w krzakach, otaczających mogiłę, znikł nagle.

Jako świadomy dobrze tego miejsca, wiedział on, że ta kupa zielskiem zarosła nie była mogiła, ale starem rumowiskiem, pozostałem po dawnym jakimś budynku, który czas, nie lubiący nagich zwalisk, pokrył już od dawna bujną roślinnością.

Rumowisko to było ostatnim szczątkiem rozbójniczego zamku, czy też zbójckiej karczmy, o której wieść niosła. I szczątek ten mógł zarówno stosować się do zamku, jak i do karczmy, bo było w nim wejście, zielem i krzakami zasłonięte i prowadzące do obszernej piwnicy. Mówiliśmy już, że cała ta pasieka złą bardzo miała reputację u ludu, i po zachodzie słońca od dawna już niktby tam nie zaszedł za wszystkie skarby świata. Starsi tylko przebąkiwali czasem o jakiejś wielkiej piwnicy, do której pan zamku czy właściciel karczmy bogatych gości swoich trupami wrzucał, i w której od północy do ranego kura wszystkie dusze zamordowanych bez spowiedzi niestworzone wyprawiają hece.

Nie wdając się w to, jak się w istocie rzecz miała, chodźmy za nocnym wędrowcem, który, przedarłszy się przez krzaki do piwnicy i zapaliwszy latarkę, wnet znalazł dosyć ciasne wejście, które się coraz rozszerzało i kilkoma schodami prowadziło do obszernej sklepionej piwnicy. Już był nogę podniósł, by na pierwszym stąpac schodzie, gdy zdało mu się, że tuż za krzakami usłyszał jakiś głuchy szelest, jakby ciche stąpanie. Może to było tylko złudzenie podnieconej wyobraźni, ale, jak dobrze przysłowie powiada: na złodzieju czapka gore. Nieznajomy zadrżał, dech w sobie zaparł i z wielkiego przestachu wypuścił pistolet z ręki. Długą chwilę stał i cze-

kał, lecz nie nie słyszał prócz bicia własnego, strwożonego serca. Uspokojony nieco, posunął się znowu ku wejściu, szukając po drodze pistoletu. Lecz nie mogąc go znaleźć odrazu, czy też może pragnąc co prędzej zniknąć w piwnicy, a może też dlatego, że w tej chwili przyszło mu na myśl to przeświadczenie, że ta broń nie wieleby mu pomogła, boby mu zapewne w razie odkrycia zabrakło potrzebnej do użycia jej odwagi—dosyć, że, nie znalazłszy pistoletu odrazu, wsunął się co prędzej do otworu i wnet znalazł się w piwnicy.

Ktoby się wówczas był przypatrzył panu Ignacemu—bo, że on był tym nocnym wędrowcem, czytelnicy moi dawno już odgadli, nie byłby w nim poznał zapewne salonowca, a co więcej, nie zrozumiałby, skąd się w człowieku, pozbawionym wszelkiej energii i bojaźliwym, wzięło tyle odwagi. Twarz jego, pobladła okropnie, była zmieniona do niepoznania. Widniała na niej rozpaczliwa determinacya, przypominająca mocno wyraz prowadzonego na śmierć zbrodniarza. Ta zaś niby odwaga, którą przypłacał śmiertelną drżączką i potem, jak lód stygnącym mu na ciele, ta odwaga rozpaczliwa dowodzi tylko, jak nisko człowiek bez prawdziwej wartości moralnej, bez szlachetności duszy, której ani urodzeniem, ani majątkiem się nie nabywa — jak nisko taki człowiek może upaść w pogoni za pieniędzmi. Gotów jest stoczyć się do poziomu skoczka, tańczącego na linie, lub złodzieja, zakradającego się z wytrychem w rękę do cudzego domu, byle nie pracować na chleb powszedni.

Biedny pan Ignacy był napół nieżywy, i sto razy z drogi byłby już dawno zawrócił, gdyby nie popychała go naprzód rozpacz wczorajszego pana, obudzona obawą jutrzejszej nędzy.

— Czy tak zginać, czy tak, jeden dyabeł — powtarzał sobie, szczękając zębami. — A nuż się uda?

I drżał, i wzdychał, i modlił się nawet po raz pierwszy może od lat trzydziestu, i szedł naprzód na uginających się nogach, bo u kresu tej okropnej wędrówki widział złoto... Złoto! tylko złota jak najwięcej!... a potem... A niech tam potem i świat cały runie do góry nogami.

Znalazłszy się w piwnicy, odetchnął trochę pan Ignacy i podniósł latarkę do góry.

Monolog jego był niemy i krótki.

— Jest to miejsce, w którym Wiciewicz musiał schować swój skarb ogromny. Innego lepszego miejsca nie ma w całej pasiece. Znam je od dawna, i skarb ów podług wszelkiego prawdopodobieństwa jest tam, gdzie przed laty...

Tu, choć ani słówka nie mówił głośnego, samą myśl dalszą połknął, nie dokończywszy.

— Mam czas, nikt tu nie przyjdzie, bo się wszyscy tego miejsca boją — mówił do siebie w duszy. — Pewien jestem, że ten szelest, co mnie przestraszył, był wytworem wyobraźni podnieconej gorączką obawy, żądzą złota i nadzieją pełnego użycia. Gotów jestem przysiąc, że nikomu się nie śni szpiegować mnie.

Musimy przerwać monolog raz jeszcze, aby powiedzieć, że gdyby pan Ignacy przysiągł, to stałby się krzywoprzysięcą. Ów szelest usłyszany nie był wytworem wyobraźni, lecz najzupełniej rzeczywisty.

Pod owem drzewem, o które oparty Eugeniusz wtedy oczekiwał na przybycie pięknej Hani, w wysokiej trawie leżał jakiś człowiek. On nie myślał szpiegować pana Ignacego, o którego przybyciu dziś w nocy ani mu

się śniło. Ale szpiegował przecie. Należał bowiem do tych ludzi, dla których szpiegowanie jest rozrywką, żywiołem, potrzebą, namiętnością. Gdyby inne urodzenie, inne wychowanie i inny czas, Iwan — bo to on był — zostałby niezawodnie chlubą ulicy Jerozolimskiej w Paryżu, prawą ręką sławnego księcia Otranti.

Iwan, prawnuk króla dziadów, prócz wrodzonego popędu do szpiegowania, miał i swoje powody. Dorozumiewał on się wielu rzeczy, które podpatrzył i podsłuchał, ale dorozumiewał się po części tylko. Przekonawszy się wszakże, że w tajemnicach, o których nieraz gadali król dziadów i Semen, i on pewną gra rolę, tem więcej nadstawiał ucha. Tym sposobem zasłyszał coś i o skarbie i o pasiece, a zwłaszcza przekonał się, że Eugeniusz kocha się w Hani i jest od niej nawzajem kochany. Nadmieniliśmy już, że pomimo bardzo młodego wieku Iwan miał w sobie zarody wszelkich najgorszych namiętności, obok dzikiej i energicznej, chociaż skrytej w sobie natury, jaką często w ludziach jego pokroju wyrabia zupełne zaniechanie wychowania moralnego i religijnego. Hanię kochał namiętnie. Dlaczego kochał i jak mógł taki człowiek kochać, należy to do owych tajemnic nigdy dokładnie nie zbadanego serca ludzkiego. Po miłości do Hani, najsilniejszą w nim namiętnością była nienawiść do Eugeniusza i całej jego rodziny — nienawiść, której psychologiczna przyczyna, pominąwszy zazdrość, jaka nieraz jest właściwa ludziom jego stanu, tkwiła może we wspomnieniach rzeczy dawniej podsłuchanych lub podpatrzonych.

Temi to wszystkimi pobudkami razem połączonemi wiedziony, zaczął się od owem drzewem, aby i skarbu i pasieki pilnować, i czuwać nad krokami swego niena-

wistnego rywala. Spostrzegłszy kogoś wchodzącego do pasieki o czasie tak niezwykłym, przyczółkał się za nim i widział, jak nieznajomy wsunął się między krzaki, otaczające piwnicę, o której istnieniu rzeczywiście nie wiedział.

Pana Ignacego poznał od razu, bo ludzie tacy, jak on, mają zwykle doskonale oczy, do kocich podobne. Mocno zaciekawiony obecnością hrabiego w takim miejscu i o takiej porze, chciał zaraz pośpieszyć za nim, i gdy się przedzierał przez zarośla, omal się nie zdradził. Przycupnął na chwilę, lecz wnet wsunął się po cichu za krzaki, zakrywające wchód do piwnicy, i macając wokoło, jedną rękę wsunął do otworu, gdy druga przez przypadek, bo zrządzenie wyższe chętnie nazywamy przypadkiem, uchwyciła upuszczony przez pana Ignacego pistolet. Zatrzymał się znów na chwilę, rozmyślając, czy ma iść dalej, czy czekać na powrót pana Ignacego. Że bowiem przybycie hrabiego do pasieki miało związek z owym skarbem, łatwo odgadł.

I miał nad czem rozmyślać.

— On przyszedł po skarb, a więc wyjdzie z nim. On jest sam i ja sam. On ze skarbem, ja z moją nienawiścią. On bezbronny, ja z bronią morderczą w ręku. Noc, nikogo niema... skarb może być mój.

Takie mniej więcej były jego rozmyślenia, gdy naraż usłyszał poza sobą zbliżające się kroki. Oskoczył więc cicho, jak kot, i czekał, co dalej nastąpi.

Pan Ignacy tymczasem kończył swój monolog, prowadzony w duchu:

— Znam to miejsce... poszukajmy w niem.

I, postawiwszy latarkę, z rozpaczliwym pośpiechem poszedł wprost do jednego rogu piwnicy. Tam był stos

kamieni, które, jeżeli wieść ludu była prawdziwa, słuszyły może kiedyś do zawalenia lochu, do którego wrzucano trupy pomordowanych.

Gorączkowo ją ręką szukać pomiędzy kamieniami. I snąć znalazł, gdyż spocone rozjaśniło się czoło. Przyklął, i ręka znikła w jakimś dole, który zakrywał stos kamieni. Zgięty aż do ziemi, nic nie widział, nic nie słyszał; słuch i wzrok jego były teraz w ręce, która coraz głębiej tonęła w lochu.

Nastąpiła długa chwila oczekiwania i niepewności, której przebycie dla człowieka takiego, jak pan Ignacy, było już ogromną karą. Bo co było jeszcze w nim szlachetniejszego, co mu zostało z wychowania, co weń wpoili duma rodowa, co się wyrobiło przez obracanie się w wyższym świecie, w wytwornej sferze towarzyskiej, której bądź co bądź nie można odmówić uczuć, jeżeli nie szlachetniejszych, to przynajmniej delikatniejszych—wszystko to razem obudziło się w nim; teraz i niby klezczami szarpało jego sumienie, wyrzucając mu jego niegodziwość. Bo sumienie nigdy, w żadnej życia chwili i w żadnym położeniu, nie da się zagłuszyć.

— Tam nędza, tu ratunek! — przemknęło mu błyskawicą przez głowę, która w takiej chwili nie zdołała nawet zdrowo sądzić. I ręka sięgała coraz niżej. Wszystkie pragnienia, wszystkie myśli, wszystkie uczucia zbierały się w pięciu tej ręki palcach.

I dotknął, dosięgnął, porwał w ręce i wyciągnął...

Był to rzeczywiście skórzany worek Wiciewicza, niewinna przyczyna śmierci kota Marty.

Podniósł się pan Ignacy, błądy, drżący z okropnego wysiłku. Odwrócił się ku zostawionej na środku łatarce i... znalazł się oko w oko ze stojącym naprzeciwko niego

królem dziadów... A dalej w cieniu stał Semen i druga para oczu złowrogich patrzyła na osłupiałego.

Uczucia, jakiego doświadczał w tej chwili hrabia, żadne pióro nie opisze, bo ledwie je zdoła wyobrazić sobie najbogatsza wyobraźnia.

Worek wypadł z bezwładnej ręki złapanego na gorącym uczynku i z brzękiem uderzył o ziemię. I z pękniętej jego skóry posypało się złoto, macając grobową ciszę swoim czystym i ponętym dźwiękiem. Złoto zasłało ziemię między panem Wyżyńskim i królem dziadów—złoto, które było powodem przewiny pierwszego, a przyczyną długo karmionej nienawiści i uczucia zemsty drugiego.

Zimno i złowrogo patrzyły na przestępcę oczy króla dziadów, złowrogo i złośliwie oczy Semen. A o ileżby okropniejsza była męczarnia pana Ignacego, gdyby mógł widzieć jeszcze dwoje oczu, które patrzyły na niego z głębi wejścia, z wyrazem kolejnym zgrozy i przestachu, oburzenia i litości, przywiązania i pogardy, tych wszystkich najsprzeczniejszych uczuć, jakie mieścić się mogą w zdolnym czuć sercu. Bo to były oczy syna, patrzącego na hańbę i wstyd własnego ojca. Kto w tej chwili więcej cierpiał, ojciec czy syn? Bóg to chyba jeden odgadnie. Eugeniusz, wsunawszy się za idącymi, pozostał w tyle niepostrzeżony i zrozumiał część tej sceny, część okropną. Okropniejszej się już spodziewać nie mógł.

A wyżej nad nim jeszcze dwoje patrzyło oczu, zawieszonych przy samym wejściu, jakby dwa płomieniste kagańce, oświecające tę scenę swoim złowrogiem światłem. To były Iwana oczy, zaczajone, szpiegujące, jak zawsze.

Srula nie było. Zanadto był tchórzliwy i zanadto już bogaty, by chciał narażać się na niebezpieczeństwo. Przy wejściu do pasieki umknął niepostrzeżony i, dopadłszy konika, ukrytego z wózkiem w krzakach, odjechał pośpiesznie. Tak był przestraszony i pomieszany, że wracał tą samą drogą, którą przyjechał z Wyżyniec.

I dlatego, niedaleko ujechawszy, spotkał majora z Marcinem. Ujrawszy majora, czy dlatego, że go może sumienie ruszyło, czy też było to wskutek przestachu, dość, że zaczął mu opowiadać wszystko, co widział i czego się domyślał, bo Srul, jako prawdziwy Żyd, umiał zawsze dowiedzieć się o tem, jeżeli się nie domyślić, co mało kto inny mógł wiedzieć.

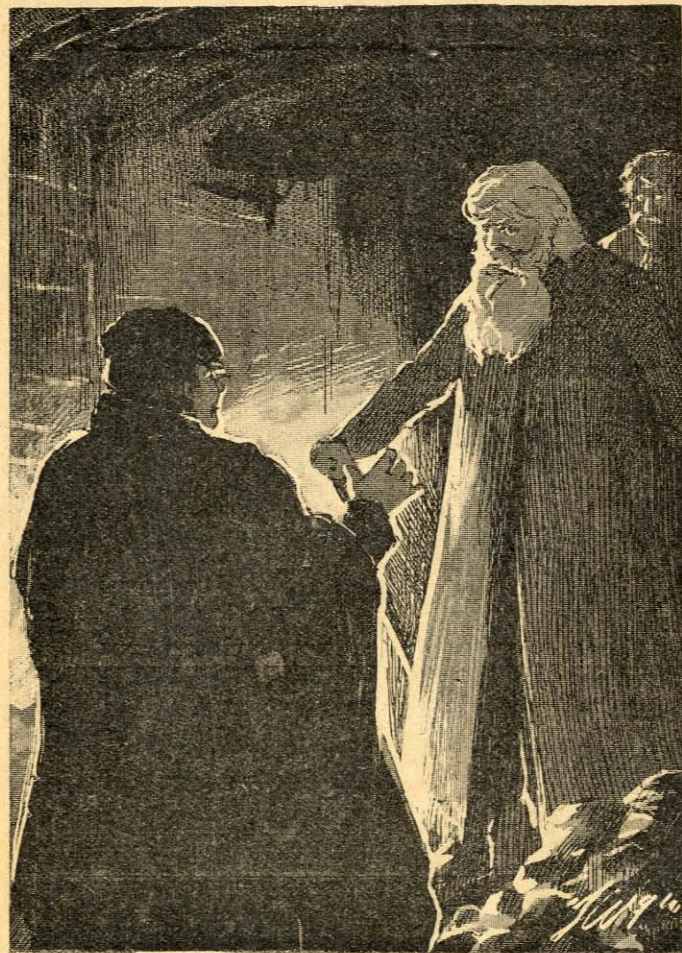
Lecz, wskutek przestachu i pomieszania, tak się płatał opowiadając, że zatrzymał majora z pół godziny, zanim się o tyle wyjęczył, że major zdołał go zrozumieć.

Major, zrozumiawszy, o co rzecz idzie, przerażony do najwyższego stopnia, spał konia ostrogami. Ale pół godziny już stracił. A pół godziny to czasem zbawić, czasem zgubić może.

Tymczasem w piwnicy przez długą chwilę ponure trwało milczenie. Pan Ignacy nie tylko słowa żadnego nie był zdolny wymówić, ale nawet myśli nie zdołał zebrać. Był jakby oszołomiony, zdruzgotany, zmiażdżony. Cierpiał tylko straszliwie, niewysłowienie.

— Spotykamy się raz jeszcze w tem samym miejscu! — ozwał się wreszcie król dziadów, a głos jego był suchy, urywany. — Jasny pan przybyłeś znowu po pieniądze! — dodał głosem, który stawał się coraz więcej szyderczym.

Pan Ignacy uczuł szyderstwo, które sprawiło mu ból



Zimno i złowrogo patrzyły na przestępcę oczy króla dziadów.

niemał fizyczny, lecz nie miał siły zdobyć się na odpowiedź.

— I znowu po cudze! — mówił dalej król dziadów głosem coraz donośniejszym, coraz namiętniejszym.

Pan Ignacy milczał, ostatnie dobywając z siebie siły, aby z nadto widocznem drżeniem nie dać poznać po sobie, co się z nim dzieje. Na zwaliskach wszystkich innych uczuć trzymała się jeszcze дума, jakby ostatnia wieża zburzonego zamczyska.

— Wiedziałem, że się spotkamy — zaczął znowu po chwili stary Wasyl, i w oczach jego zaświecił wyraz tryumfu. — Bóg tak chciał, żeby staremu królowi dziadów nadarzyła się sposobność do wykonania zaprzysiężonej zemsty. I ta cię, jasny panie, nie minie.

Szybko, jak błyskawica, przyskoczył Eugeniusz i stanął między ojcem a królem dziadów. Nic nie mówił, ale na dzielnej młodzieńca twarzy znać było energiczne postanowienie.

— Zemsta?! — zawołał. — Miejcie się na ostrożności! I ja tu jestem.

— I ty tu jesteś, młody góralu? — wyrzekł król dziadów, a głos jego zmieknął nieco. — Dobrze się stało, to Bóg tak zrządził... Słuchaj więc, co stary król dziadów ma do powiedzenia, bo Wasyl słowami tylko się zemści, nie w inny sposób... To kradzione złoto, co się tu oto rozsypało, samo jest już narzędziem kary. Moja zemsta dalszych czasów sięga, i usłyszycie dziś rzecz, której się nikt z was nie spodziewa.

Tu po raz pierwszy od początku tej sceny pan Ignacy śmielsze przed się rzucił spojrzenie i z niejaką ciekawością spojrzał na króla dziadów.

— Ja byłem przyjacielem waszego rodu — mówił

znowu Wasyl, ale już teraz coraz poważniej. — Wiedział o tem dobrze stary nieboszczyk, a przecież syn jego zabrał mu pokryjomu i jawnie wszystkie pieniądze, i wyparł się tego zupełnie. Przysiągłem zemstę... i wykonałem ją... i dwadzieścia lat się nią już cieszę...

Ojciec i syn ze zdumieniem patrzyli na Wasylą.

— Urodził ci się, jasny panie, syn, a cieszyłeś się nim lat dwadzieścia, nieprawdaż?

Tu się król dziadów roześmiał tak przeraźliwie, że wszyscy aż zadrżeli.

— Moja wnuczka była mamką nowo-narodzonego... A z nią czuwała zemsta moja. Śmiech mnie bierze, gdy pomyśle, że jednym słowem mogę...

— Co możesz? — wyrzekł po raz pierwszy pan Ignacy głosem słabym i stłumionym.

— Mogę powiedzieć... żem ci moją zemstę pożyczył na lat dwadzieścia. Nieprawdaż, że to śmieszne?

Wyżynscy nie spuszczała oka z mówiącego.

— Pożyczyłem jaśnie panu mego prawnuka.

— Co? — wykrzyknęły usta ojca i syna.

— Eugeniusz nie jest synem jaśnie pana... Czy rozumiesz, jasny panie?

— Kłamstwo! — krzyknął pan Ignacy, któremu zwrot rozmowy dodał otuchy i dawną obudził butność.

— Moja wnuczka przemieniła dzieci, a ten oto Semen wyniósł sam w nocy młodego chłopca aż tu do nas. a na jego miejsce zostawił dziecko mojej wnuczki...

— Ja na to przysięgnę! — ozwał się Semen.

W czasie tej rozmowy Iwan przysuwał się coraz bliżej i z nateżeniem słuchał. Oczy jego świeciły złowrogim blaskiem, jakby ślepie tygrysa, czyhającego na zdobycz.

czeniu, gdy nagle zabłysła im z łona ciemności lufa pistoletu i dwoje oczu, fosforycznym palających ogniem. Jeden Semen zrozumiał, czyli raczej odgadł odrazu, co się święci, i rzucił się ku Eugeniuszowi. Lecz już było za późno.

Błysnęło i huk rozległ się po sklepieniach piwnicy, a gdy chmura dymu nieco się rozrzedziła, spostrzegli Eugeniusza leżącego już na ziemi. Strumień krwi płynął mu z piersi.

Na ten widok zadrżał pan Ignacy więcej z przestachu o siebie, niżeli z żalu za synem. A król dziadów z okropnym jękiem rzucił się na Eugeniusza, i to płacząc jak kobieta, to miotając przekleństwa, jał go tulił do siebie.

I Semen przyskoczył i, ukląkłszy u nóg Eugeniusza, leżącego bez najmniejszego ruchu, z przerażającym wyrazem twarzy, jał okropnie zawodzić, ścisnąć i całować je.

W tem zamieszaniu nikt nie słyszał tętentu koni, który rozlegał się już od kilku chwil. Był to major i Marcin, którzy dojeżdżali właśnie, gdy usłyszeli strzał, i idąc za jego odgłosem, wpadli na Iwana, który, trzymając w dłoni dymiący jeszcze pistolet, patrzył w dół z dzikim tryumfem. Marcin porwał go za barki, a major skoczył w środek piwnicy, by zobaczyć, co się tam stało.

Ale nadaremnie patrzył po wszystkich twarzach, by zrozumieć przerażającą zagadkę. Pan Ignacy spuścił oczy i milczał. Król dziadów i Semen na żadne odpowiedzieć nie chcieli zapytanie. Klęcząc koło Eugeniusza, powtarzali tylko:

— Oddajcież nam go teraz przynajmniej. On nasz!...

Zapuścimy zasłonę na tę okropną scenę. Jak w ży-

ciu ludzkim graniczą ze sobą największe sprzeczności, tak i w piwnicy, która tylko co była widownią tak tragicznej sceny, w kilka chwil później odbywała się scena prawdziwie komiczna.

Odebrawszy list od majora, przyleciał Wiciewicz z kilkoma Nizyńczanami, których pochwytał, krzycząc gwałtu po miasteczku. Skoro wpadł do piwnicy i ujrzał sakwę z dukatami pękniętą, a pieniądze rozsypane, rzucił się na nie z wściekłym zapalem, i póty się z miejsca nie ruszył, póki kilka razy nie przerachował, oglądając się na wszystkich, czy mu kto z pod ręki dukata, jakiego, nie ściąga.

Winowajcą całego wypadku uczyniono oczywiście Iwana. Nigdy nie zostało wyjaśnione, czy strzał był przypadkowy, czy umyślny.

Eugeniusza, nie dającego żadnego znaku życia, zaniesiono do dworku Goździkiewicza. Szli za nim major, król dziadów i Semen. Biedna Hania!... Pan Ignacy uczul się tak okropnie rozstrojonym całym tym wypadkiem, że powrócił do domu.

Tej samej nocy umarł bezdzietnie król dziadów.

* * *

W rok czy więcej może rzewna rozgrywała się scena w pewnym dworku w Delatynie, położonym na wzgórku, w miejscu nadzwyczaj malowniczym.

Był to dzień jesienny, ale pełen jeszcze uroków letnich, bo było jeszcze ciepłe słońce, była woń, bijąca żywoczo od gór, sosnami i smerekami pokrytych, była jeszcze zieloność ledwie gdzieniegdzie z lekka pocienio-

wana tą bogatą, zawsze a w górach najbogatszą rozmaitością barw jesiennych.

Jedno okno dworka było odemknięte, i z niego rozciągał się cudowny widok na rozrzucone tu i owdzie chaty i sady, wśród których płynął wesoło gwarzący Prut, i dalej na podnoszące się coraz wyżej, na podobieństwo schodów, olbrzymie pagórki i wzgórze, pokryte gajami, lasami i borami, a tłem do tego obrazu były Karpaty, na których czubach kędzierzawych osiadły mgły jesienne, zwiastunki blizkiej zimy.

Przy otwartem oknie, w wielkiem poręczowem krześle siedział młodzieniec cudnej urody, ale błydy i wychudły. Na twarzy tej, o wyrazie chorobliwym, nie znać już było życia, ale za to wszystko życie, wszystkie myśli i wszystko czucie weszło mu w ciemne oczy, które zwiększone przez osłabienie z głębokich i pociemniałych obwódok świeciły jeszcze jasno, czule i rozumnie. On jeszcze temi oczyma umiał zamarzyć, najwznioślejszą wyrazić myśl, najczystsze błysnąć uczuciem, popatrzeć na piękną ziemię, na piękniejsze jeszcze tam w górze niebo; wzrok ciała i wzrok duszy umiał połączyć w tych oczach, któremi potrafił i zapłakać jeszcze. Tylko się już niemi zaśmiać nie był zdolny. Ale co było dlań najmiłsze, to patrzeć przez okno na cudną okolicę, a więcej jeszcze na dwie postacie kobiece, które u nóg jego klęczały, spoglądając mu w oczy, jakby czekały jego skinienia, całym życiem swoim zawieszone na jego spojrzeniu, w którym chciałyby odgadnąć każdą jego myśl, każde drgnienie jego serca, każdy objaw jego woli, każdy puls jego siły żywotnej. I wszystko, co chciały, w oczach młodzieńca wi-

działy, wszystko odgadły, wszystko znalazły, prócz nadziei.

W jego oczach była śmierć, a w ich oczach lzy — lzy, które ściska się krew serdeczna aż do ostatniej kropelki.

Okropna to rozmowa, ostatnia, pożegnalna!

Umierającym na suchoty młodzieńcem był Eugeniusz, a klęczącymi przed nim kobietami były: Hania, żona jego od roku, i pani Wyżyńska, jego matka. Matka! bo nią była przez serce swoje, przywiązane całym uczuciem do Eugeniusza. Po latach 20 przywiązania, czyliż mogła je w sobie zabić dla kilku słów nędznego żebraka, wymówionych w złości! A gdyby nawet, to widok cierpiącego czyliżby nie obudził ponownie miłości w sercu macierzyńskim? O! niewyczerpane jest źródło uczucia w kobiecie! A choć jej czasem przez głowę myśl jaka wątpliwa przemknęła, ona odpędzała ją natychmiast, patrząc na blade lica młodzieńca, na które anioł śmierci rzucił już cień swoich skrzydeł.

Eugeniusz, zraniony przez Iwana, długo walczył ze śmiercią. Opuszczony przez lekarzy, cudem ozdrowiał, cudem miłości, można by powiedzieć. Hani obecność, Hani oczy, ciągle na niego zwrócone, Hani gorące modły wyratowały go na chwil jeszcze kilka, by mu te chwile zrobić rajem na ziemi.

I rzeczywiście ten krótki przeciąg czasu, w którym, po wyzdrowieniu z rany, pojawiły się nieuleczalne suchoty, stał się dla młodzieńca istnym rajem. Miłość i poświęcenie obu kobiet były bez granic. I wszystko troje w tem życiu odosobnionem, na łonie cudownej przyrody, tak doskonale harmonizowało w swych myślach, zanadto poetycznych na zimną prozę życia, w swych uczu-

ciach, zanadto romantycznych na tę lodowatą rzeczywistość, która za pogardę, okazywaną jej matematycznemu wyrachowaniu, zwykle karze przedwczesną śmiercią, nędzą lub szaleństwem.

W tej loteryi dla Eugeniusza wypadł los najszcześniejszy. Umierał młody, nierozczarowany wskutek doświadczeń życiowych, niezłamany walką z tą hydrą bajeczną o wiecznie odrastających głowach, które są dzisiaj wszystkie jutra niepewne...

Od kilku dni z każdą chwilą był już coraz słabszy. W sercach nawet matki i kochającej żony wygasła ostatnia iskierka nadziei. A więc musiał umrzeć...

W ostatni może dzień pogodny chciał jeszcze odechnąć tem powietrzem górskim, napatrzeć się na te piękne góry, ku którym w chwilach uniesień młodzieńczych wydierała się jego dusza.

I tak przy oknie przesiedział dzień cały. Jeszcze zapragnął widzieć ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Nie sprzeciwiały mu się biedne kobiety, bo wiedziały, że już mu nie zaszkodzić nie mogło.

I ujrzał te ostatnie promienie, jak, łamiąc się to na falach rzeki, to w niższych warstwach krajobrazu, to coraz wyżej na wzgórzach rozbałwanionych, usianych gajami, lasami, borami, to na omglonych gór wspaniale piętrzących się szczytach, spływały w purpurowe morze zachodniego nieba.

— Czy może być coś piękniejszego? — przemówił słabym głosem, który odbijał się jakby echo dawnej siły młodzieńczej. — Lubilem zawsze zachód słońca, który miał dla mnie urok niezwyklej tajemniczości, jakby powolne przejście życia w wieczność, w nieskończoność

nieodgadnioną. I z wami razem patrzeć na ten widok cudowny, najdroższe!... toż to rozkosz, to szczęście!

— Synu!

— Meżu!

Więcej obie kobiety przemówić nie umiały. W tych dwóch słowach mieściło się ich całe życie ze wszystkimi myślami i uczuciami.

— Nie płaczcie — mówił dalej i ogarnął obie spojrzeniem, pełnem słodyczy. — Kochany od was... kocham was!... jestem szczęśliwy...

Myśli tlały w nim jeszcze, ale osłabione piersi nie były już zdolne dostarczyć im głosu.

— Mam do was prośbę — przemówił po chwili, wyciągając ręce do hrabiny i Hani.

Obie kobiety porwały te ręce i przycisnęły do nich usta swoje; a na każdą rękę padła lza gorąca matki i żony.

— Powiedz, drogi, czego od nas żadasz? — szepnęły obiedwie.

— Życie!... życie!... ja was proszę! — wyrzekł jeszcze z ostatnim prawie wysiłkiem. A w oczach jego była prośba, błaganie, modlitwa.

— Będziemy żyły! — odrzekły obie głośno.

— Jeśli będziemy mogły! — dopowiedziały po cichu zbolące serca.

— Dzięki wam!... Zasnąć jeszcze!... zasnąć... cicho!... jak niegdyś w kołysce! — wymówił głosem urywanym, i powoli opadła piękna jego głowa i wielkie zamknęły się oczy.

Cicho, bardzo cicho było w pokoju. Eugeniusz zasnął snem najspokojniejszym, bo bez przebudzenia... snem wiecznym.

Matka i żona klęczały i modliły się. Dwie rzewne modlitwy stały się skrzydłami godnymi tej młodzieńczej duszy, ulatującej w niebo swych marzeń.

* * *

Najsmutniejszy jest obowiązek powieściopisarza **kończyć** nieodzownie powieść swoją dodatkowem opowiadaniem, jakby z gazety zaczerpniętem, wszystkich drobnych następstw skończonej już katastrofy. Wygląda to zupełnie tak, jakby dawał spis rannych i pobitych po skończonej walce.

Ale ponieważ jest to obowiązek, spełnić go należy.

Pani Wyżyńska nie długo przeżyła syna. Wkrótce po niej umarł stary major. Hania nie umarła, bo odżyła w gorącej wierze religijnej. Została siostrą miłosierdzia.

Pan Ignacy, ratując swoje stanowisko, wkrótce po owdowieniu ożenił się ze starszą panną Gliniecką, a że jakoś szczęście mu sprzyjało, i ta umarła mu żona, a więc co prędzej mógł się ożenić z młodszą panną Gliniecką. Tym sposobem zabrał cały majątek pana Glinieckiego, który, objadłszy się na przenosinach drugiej córki, umarł na niestrawność. Pan Ignacy został znowu panem i nawet doczekał się jeszcze dwóch synów.

Semen rozpił się i umarł pod lawą u Żyda. O Iwanie żadnej pewnej nie było wieści. Przebakiwano tylko o jakimś opryszku, sławnym w Karpatach, którego po jasnych włosach nazywano białym dyablem, albo białym Iwanem.

Co zaś do Niżyńczan i Niżyńczanek, to żyją oczy-

wiście i żyć będą zawsze, bo małomieszczenie, jak przecie wiadomo, chociaż przepomniął o tem Buffon i Cuvier, należą do istot nieśmiertelnych. Jeden Hektor Bums... nie umarł także, ale, jak twierdzi pani aptekarzowa Nr. 2, mocno cierpi na głowę.

Goździkiewiczów ród wymarł zupełnie. Szkoda ich, ale cóż robić? Nie wróca już ani oni, ani czasy owe, w których żyli!...


K O N I E C.



206006 / 1-2